GŁOS
BRATA ALBERTA



PISMO PRZYJACIÓŁ DZIEŁA BRATA ALBERTA
KRAKÓW, UL. KOŚCIUSZKI 86.
ROK VII. LISTOPAD — GRUDZIEŃ 1938. Nr. 6.

GŁOS BRATA ALBERTA

ROK VII. LISTOPAD-GRUDZIEŃ NR. 6

Od Redakcji.

Ze względu na wielkie wydarzenie jakim dla nas był jubileusz 50-lecia, ostatni w tym roku zeszyt naszego pisma poświęcamy w całości sprawozdaniu z przebiegu prac organizacyjnych i samego obchodu w Krakowie. Czynimy to w przekonaniu, że dla sprawy Brata Alberta i idei, którą reprezentuje jego imię, obchód krakowski powinien znaleść odpowiednie echo w stosunku do jego wielkich osiągnięć a przede wszystkim musiały być zanotowane słowa ludzi nie tylko wybitnych w naszym społeczeństwie, ale równocześnie jednych z niewielu, którzy po długim okresie „przeżywania" Brata Alberta problem jego duchowości najwnikliwiej rozwiązali.

Klasycznym ujęciem duchowej sylwety Brata Alberta, opartym na przesłankach filozofii chrześcijańskiej, sztuki, psychologii i znajomości bezpośredniej jest doskonałe przemówienie Ks. Rektora K. Michalskiego.

Zebranie i opracowanie całego materiału opóźniło ukazanie się w odpowiednim terminie zeszytu i za wynikłą stąd zwłokę przepraszamy naszych Czytelników. Następny numer ukaże się w połowie stycznia 1939 roku. W związku z rozpoczęciem nowego rokú uprzejmie prosimy o łaskawe uregulowanie przedpłaty na rok 1939 załączonym przekazem rozrachunkowym.

Z okazji Świąt

Bożego Narodzenia i Nowego Roku

przesyła najlepsze życzenia Przyjaciołom Dzieła Brata Alberta i Drogim Czytelnikom naszego pisma Redakcja

Pod Baranami bal...

W 1887 roku Adam Chmielowski był na balu »Pod Baranami«, gdzie budził podziw tańcząc walca z Modrzejewską pomimo tego, że zamiast prawej nogi amputowanej wskutek ran odniesionych w powstaniu styczniowym pod Mełchowem miał protezę. Z balu tego nagle wyszedł i udał się wprost do »ogrzewalni«, przytułku nędzarzy przy ul. Skawińskiej. W noc tę nastąpił ów przełom, z którego powstał Brat Albert.

Pod Baranami bal... Namiętny płynie walc,
w powodzi świateł drżą jedwabne toalety,
ordery, fraki w krąg przez amfiladę sal,
muzyka, wino, śmiech i złoty ciepła przepych.

A za oknami noc i w śniegu Rynek śpi,
mróz w kleszcze twarde wziął na Sukiennicach maski —
w wyłomach, w wnękach bram nędzarzom aż do krwi
wżera się biały ból przez księżycowe blaski.

Pod Baranami bal.. Chmielowski szepcze coś
i pocałunek składa na dłoni Modrzejewskiej,
zawrotny tańca rytm przenika go nawskroś,
czule owija go w walcu jej szal niebieski.

Gdzieś dawno krwawy bój w odległej wspomnień mgle,
powstańczy zapał, zryw... Dziś noga na protezie
i Kraków, miasto snów, malarskie atelier
i miłość, złoty szał w krainę szczęścia wiedzie...

Orkiestra jeszcze gra, więc jeszcze tańczyć w krąg!
A szepty słychać: Patrz, jaka to piękna para!
Oddechu ciepło drży i oplot czułych rąk
i wino tętni w krwi jak śmiech i smutek naraz...

A za oknami noc i w śniegu Rynek zbladł,
surowej zimy nóż rozcina srebrne szyby
i nagle — jakaś myśl... i nagle — inny świat
jak gdyby krzyk i jęk orkiestry tonom przybył...

Pod Baranami bal... wesołych gości tłum...
Zdziwiony bramy zgrzyt, że piękny pan we fraku
tak wcześnie idzie już... Lodowy wiatru szum
i śniegu ostry skrzyp... Wokoło śpiący Kraków...

W księżycu śmieje się Sukiennic masek rząd,
a w uszach jeszcze drży jej szept... przy piersi róża...
i wina gęsty smak... A teraz nie wie skąd
dokoła śnieżny mrok... wicher ostry od Podgórza...

I nagle modny pan w przytułku wstąpił drzwi...
Myśleli, że to żart... Ten panicz pił za wiele!
chce drwić, że tutaj głód? że płacz? że ból? Niech drwi!
Zdejmuje strojny frak? Tu barłóg sobie ściele?

Pod Baranami bal... Namiętny płynie walc,
w powodzi świateł drży rozkosznych uczuć skarbem...
Chmielowski zniknął gdzieś? Już wyszedł?... En avant!
mazura! bo już świt!!
...Już świt... — szepcze Brat Albert.

SPRAWOZDANIE
przewodniczącego Komitetu Jubileuszowego ku czci Brata Alberta.

Na zebraniu Komitetu Organizacyjnego Związku Przyjaciół Dzieła Brata Alberta w dniu 25 kwietnia 1938 roku na wniosek ś. p. Księdza Kapelana Władysława Staicha polecono mi zorganizować Komitet Jubileuszowy, którego zadaniem byłoby nie tylko ułożenie programu uroczystości, ale i tego programu wykonanie.

Czyniąc zadość uchwale zaprosiłem w dniu 20 maja tegoż roku na zebranie organizacyjne przyszłych członków mającego powstać Komitetu.

Zaproszeni zostali: Brat Starszy Wincenty, jako przełożony Zgromadzenia, prof. Ludwik Skoczylas, jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, a nadto prof. Chomicz, red. płk M. Dienstl-Dąbrowa, W. Dutkiewicz, red. płk. W. Dziama, W. Fi-

giel, dyr. R. Hajnos, K. Hukan, M. Janoszanka, Ks. Kan. St. Jasiński, A. Lempart, red. Dr. M. Niwiński, W. Pruszyński, Mjr. J. Sokulski, T. Stanaszek, Ks. Kap. W. Staich, Ks. Mgr. H. Weryński, red. T. Wójcicki, Mgr. W. Żychowicz.

Na tym pierwszym organizacyjnym zebraniu przewodniczącym wybrano podpisanego, jego zastępcą red. Dienstla-Dąbrowę sekretarzem A. Lamparta, skarbnikiem W. Dutkiewicza. Rzecz jasna że, jak zwykle w tych wypadkach, część tylko wymienionych członków zajmowała się bezpośrednio realnym przygotowaniem uroczystości. Niemniej jednak wszyscy służyli radą, a co może najważniejsze: stanowili bardzo ważny czynnik propagandowy.



TADEUSZ RAWICZ-ROJEK
Przewodniczący Komitetu Jubileuszowego

Program postanowiono rozdzielić na dwa okresy: dzień 25 sierpnia, jako właściwą rocznicę założenia Zgromadzenia Braci Albertynów oraz dnie 7 i 8 października. Dzień 25 sierpnia miał się stać wyłącznie wyrazem hołdu i czci złożonej u grobu ś. p. Brata Alberta - Adama Chmielowskiego.

Właściwe uroczystości miały przypaść na dnie 8 i 9 października i obejmować w dniu 8 w sobotę odsłonięcie tablicy dłuta Karola Hukana na pierwszym domu albertyńskim przy ulicy Krakowskiej, otwarcie wystawy i muzeum pamiątek po Bracie Albercie, wieczorem uroczyste przedstawienie w teatrze miejskim oraz w teatrze Związku Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej. W dniu 6 t. m. po nabożeństwie w bazylice OO. Franciszkanów miały wypełnić program uroczystości Akademia w Złotej sali Domu Katolickiego, poczem miało nastąpić obdarowanie ubogich. Na tymże posiedzeniu postanowiono wydać afisz propagandowy. Postanowiono wydać broszurę propagandową, kartki oraz przygotować społeczeństwo za pośrednictwem katolickiej prasy.

Uwzględniając obok wielkich zasług społecznych i współudział Brata Alberta w powstaniu styczniowym uchwalono czynić starania o przyznanie Mu Krzyża Niepodległości.

Ułożony w ten sposób w zarysie program został zatwierdzony przez Komitet Organizacyjny Związku w dniu 31 maja, poczem Komitet Jubileuszowy zwrócił się z prośbą do J. E. Ks. Metropolity Adama Stefana Sapiehy oraz do JWP. Prezydenta miasta Krakowa Dra Mieczysława Kaplickiego z prośbą o objęcie protektoratu, co też Oni łaskawie uczynili.

Zakreślony program uległ zmianom i przesunięciu. Z przyczyn od Komitetu niezależnych nie odbyły się przedstawienia oraz nie otwarto muzeum, nie obdarowano ubogich a termin właściwych uroczystości przesunięto na dnie 15 i 16 października, a to ze względu na przesunięcie dorocznego tygodnia miłosierdzia, z którym uroczystości w myśl życzenia Księcia Metropolity miały być złączone.

Wykonanie i tego zmniejszonego programu napotkało na szereg trudności, bo zbieg wypadków zarówno politycznych jak i lokalnych stanął na przeszkodzie.

Wykonano co następuje:

Afisz propagandowy kompozycji **prof. Witolda Chomicza** pojawił się dniu 25 sierpnia w Krakowie a w październiku, dzięki życzliwości Ministerstwa Komunikacji i „Ruchu“ rozszedł się po całej Polsce. Prasa cała z „Polską Agencją Telegraficzną“ na czele okazała dużo życzliwości i zrozumienia dla

wielkich idei Brata Alberta. Szczególnie tu podkreślić należy wyjątkowo życzliwe stanowisko „Ilustrowanego Kuriera Codziennego“.

Wydano **broszurę „Ku czci Brata Alberta“,** której układem zajął się red. Władysław Figiel, a na treść jej złożyły się prace T. Rawicz-Rojeka, J. A. Gałuszki, Dra M. Niwińskiego, Dra St. Niemcównej, M. Janoszanki, B. Obertyńskiej, S. Imeldy dominikanki, H. Ptaka, i S. Dolorozy serafitki.

Wydano dwie serie kartek: z reprodukcją afisza propagandowego i rzeźby Karola Hukana, wreszcie wspólnie z Caritasem wydano afisz programowy i okolicznościowe nalepki.

Polskie Radio współdziałało przez ogłoszenie programu i umieszczenie dwóch odczytów przewodniczącego p. t: **„Pierszy albertyński kwestarz na Szczepańskim Placu“** i **„Idea miłosierdzia Brata Alberta przed laty pięćdziesięciu a dzisiaj“.**

W dniu 25 sierpnia w godzinach popołudniowych zebrały się liczne delegacje Katolickich Stowarzyszeń oraz tysięczna rzesza wiernych w Bazylice O. O. Franciszkanów, gdzie nabożeństwo z modłami o beatyfikację odprawił Ks. Mgr. H. Weryński a nabożne pienia wykonał Chór Cecyliański. Po nabożeństwie ruszył pochód-procesja prowadzony przez Ks. Weryńskiego, poprzedzony zastępem wychowanków Braci Albertynów na cmentarz rakowicki. Tu na grobie Brata Alberta złożono jedyny wieniec od Przyjaciół Jego Dzieła. Śp. Ks. Kapelan Staich wygłosił kazanie, wychowankowie wykonali hymn o Bracie Albercie, poczem odśpiewano „Boże coś Polskę“.

W dniu 11 września dokonał Książę Metropolita Sapieha otwarcia wystawy obrazów i pamiątek po Bracie Albercie w „Pałacu Sztuki“, który bezinteresownie udzielił sześciotygodniowej gościny. Przemówienie okolicznościowe wygłosił przewodniczący.

W dniu 15 października nastąpiło odsłonięcie tablicy dłuta Karola Hukana, przyczym okolicznościowe przemówienie wygłosił przewodniczący Komitetu oraz Prezydent miasta, który równocześnie tablicę odsłonił. Udział w uroczystości wzięła orkiestra 20 Pułku Piechoty Z. K. oraz Chór Urzędników Miejskich.

W dniu 16 października nabożeństwo w Bazylice O. O. Franciszkanów odprawił Książę Metropolita, kazanie wygłosił O. anioł, kapucyn. W czasie nabożeństwa śpiewał Chór »Lutnia«.

Po nabożeństwie uczestnicy zwiedzili wystawę, gdzie p. M. Janoszanka wygłosiła okolicznościowy odczyt. W południe tegoż dnia odbyła się uroczysta akademia, w czasie której przemówili: prof. Ludwik Skoczylas, Ksiądz Rektor Konstanty Michalski, porucznik-weteran Ludwik Nowakowski. W części wokalnej wzięła udział orkiestra 20 P. P. Z. K. oraz Chór Cecyliański.

Już po skończonych uroczystościach nadeszła wiadomość, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej raczył Bratu Albertowi Adamowi Chmielowskiemu nadać wielką wstęgę Polonia Restituta.

Sprawozdanie to jest niezupełne, gdyż prace Komitetu właściwie nie są skończone. Zadaniem jego jest jeszcze pokryć koszta jubileuszu oraz doprowadzić do skutku muzeum Brata Alberta. W tym też celu złożył Komitet na ręce Pana Prezydenta miasta odpowiedni memoriał. —

Składając na tym miejscu serdeczne »Bóg zapłać« wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do urzeczywistnienia jubileuszu, uważam za swój obowiązek podkreślić z uznaniem ofiarną a bezinteresowną pracę prof. W. Chomicza i art. rzeźb. K. Hukana.

Tadeusz Rawicz-Rojek



Czoło pochodu do grobu Brata Alberta

DO GROBU.

Kraków był i zawsze będzie żywym pomnikiem narodowej chwały i duchową stolicą Polski. W tym mieście owianym urokiem legendy, w poszumie bohaterskiej historii, dzięki jego specyficznemu nastrojowi tworzyły się największe idee, z nich znowu zrodziły się czyny, które jako wielkie przechodziły na karty naszej historii, a ślady ich twórców stawały się nowymi pomnikami wielkości ducha narodu.

W r. 1888 w tym Krakowie rozważania nad dziejowym posłannictwem narodu zapłodniły w sercu Adama Chmielowskiego najpiękniejszą pod słońcem ideę: służenia ubogim. Bezkompromisowość i heroizm na miarę »szaleńców bożych« stworzyły Brata Alberta i urzeczonych jego wielkością a poruszonych tchnieniem miłości Boga i bliźniego — braci i siostry III Zakonu św. Franciszka posługujących ubogim. Widomym znakiem tego wielkiego momentu było ślubowanie złożone na ręce kardynała Dunajewskiego i przyjęcie szarego habitu, który w tym roku kończy swą półwiekową wędrówkę po ziemiach polskich.

Stało się to w pałacu arcybiskupim, w tym samym naprzeciw którego stoi bazylika franciszkańska, gdzie dokładnie w 50 lat, t. j. 25 sierpnia b. r. zebrała się prawie dwutysięczna rzesza Krakowian, by w zbożny sposób uczcić pamięć »Biedaczyny krakowskiego«.

W mroku franciszkańskiego tumu zaszarzyły się albertyńskie habity, zajaśniały płowe główki młodzieży albertyńskiej, zabieliły kornety zakonnic, rozbłękitniły mundury, co na tle wspaniałej polichromii stwarzało niezapomniany widok. Nad ołtarzem jaśniejącym blaskiem świec z Wyspiańkiego witrażu patronował uroczystości swego ucznia mistrz w ukochaniu nędzy św. Franciszek z Asyżu. Tu odczuć mogły dopiero serca piękność ducha Brata Alberta, a poza tym chyba tylko w mrocznej kaplicy przytuliska na Kazimierzu, albo jeszcze na Kalatówkach. Więcej nigdzie. Od stóp ołtarza płynęły słowa gorącej modlitwy ks. kan. prof. H. Weryńskiego, który w gorącości swego serca jako jeden z pierwszych rozmiłował się w pięknie idei dzieła Dzieła Brata Alberta i temu dziełu od kilku lat wiernie i skutecznie służy na łamach prasy katolickiej.

Pod gotyckie łuki sklepienia świątyni biją pienia chóru Cecyliańskiego, a serca ludzi żarzą się płomieniem boskim miłości wielkiej ku Pani Nędzy, ku tym najmniejszym, aż oczy wilgotnieją ze wzruszenia.

Wzdłuż ulicy Franciszkańskiej formuje się pochód, którego organizacją kieruje energicznie p. W. Pruszyński z pomocą Związku Hallerczyków. Pochód prowadzi orkiestra zakładowa, dalej krzyż i za nim chłopcy niosą wspaniały wieniec z czerwonych i białych kwiatów z napisem na wstędze: »Bratu Albertowi — Przyjaciele Jego Dzieła«. Następnie poprzedzani sztandarem zakładowym idą chłopcy z zakładów albertyńskich, widoczny znak jednego tylko odcinka pracy tych, którzy w szarych habitach postępują w skupieniu za nimi: albertynów. Na swoje święto przyjechali ze Stanisławowa, Lwowa, Przemyśla, Kalisza, Warszawy, Częstochowy, Zakopanego, Łodzi. Na jeden dzień opuścili swoje posterunki, by u grobu swego »Brata Starszego« uczcić modlitwą jego błogosławioną pamięć, aby tu w Krakowie, kolebce albertyńskiego czynu na Kazimierzu pokrzepić wspomnieniami swego ducha, by u jego zastępcy br. Wincentego w serdecznej



Wychowankowie albertyńscy w pochodzie.

rozmowie pozbyć się wątpliwości i ze świeżymi siłami iść dalej do syzyfowej pracy. Idą oni w szeregach, ci pierwsi współpracownicy Brata Alberta, dumni ze swego powołania, a w oczach ich pewne zdziwienie i jakby zakłopotanie, bo te habity to nie do defilady przed oczami widzów przybrane, ale do szarych zaułków wielkich miast, gdzie w oczach ciemnieje od nędzy i tragedyj, gdzie oprócz chleba nawet słońca braknie. Idą wśród nich br. Wincenty starszy Zgromadzenia, br. Józef obrońca Lwowa na Kleparowie, br. Henryk sybirak, br. Anioł, br. Marian, br. Leon, br. Roch, br. Tomasz, br. Serafin, br. Gerwazy — stara gwardia Brata Alberta. Za nimi młodsze roczniki aż do najmłodszych bez kapturów jeszcze t. j. nowicjuszów z Bulowic. Dalej długie szeregi duchowieństwa zakonnego i świeckiego, za nimi ss. albertynki i w asyście prowadzący pochód ks. kan. H. Weryński. Bezpośrednio przed pocztami sztandarowymi organizacji katolickich szła w zwartej grupie delegacja Komitetu Organizacyjnego Związku Przyjaciół Dzieła Brata Alberta z przewodniczącym p. prof. L. Skoczylasem z żoną, p. M. Janoszanką, p płk. red. Dienstl-Dąbrową, przewodniczącym Komitetu Jubileuszowego p. prof. Rawicz-Rojekiem, p. dyr. R. Hajnosem, p. K. Hukanem, p. radcą Stańkowskim, prof. W. Chomiczem, p. sekr. Dutkiewiczem, p. art. mal. Stanaszkiem i in. Pochód zamykał oddział członków Stronnictwa Narodowego w Krakowie w mundurach.

Grób Brata Alberta tonął w powodzi kwiecia i światła. Nad grobem umieszczono w oświetleniu reflektorów duży portret malowany przez Fr. Machalskiego. Jako pierwszy chór chłopców z towarzyszeniem orkiestry odśpiewał hymn ku czci Brata Alberta do słów J. A. Gałuszki. Następnie strażnik Nekropolu krakowskiego i grobu Brata Alberta — śp. Wł. Staich wygłosił podniosłe kazanie na temat życia i cnót polskiego »Poverello« Było to jego ostatnie w tym życiu kazanie o ukochanym przez niego Mistrzu do tych, którzy ukochali ideę albertyńską a między którymi On najwięcej poczesne zajmował miejsce. Czcząc pamięć tego dzielnego kapłana i naszego wielkiego przyjaciela w miejsce słów wypowiedzianych podczas pamiętnej uroczystości podajemy niżej poświęcone jego pamięci wspomnienie.

PRZYJACIELOWI DZIEŁA BRATA ALBERTA

Z szeregu przyjaciół dzieła Brata Alberta nieubłagana śmierć wyrwała jednego z najlepszych, ś. p. ks. Władysława Staicha Urodził się on w roku 1881, wyświęcony na kapłana w 25 roku życia, pracował najprzód jako wikariusz na różnych placówkach, potem jako samodzielny duszpasterz w Klikuszowej i Szczakowej. Jakiś czas był ś. p. ks. Staich kapelanem wojskowym, ostatnio zajmował skromne stanowisko kapelana cmentarnego w Krakowie. Na tej placówce okazał swą energię i gorliwość kapłańską, odmalował cmentarną kaplicę, odnowił sprzęty kościelne, uporządkował ścieżki, a przede wszystkim na swe serdeczne kazania, które wygłaszał w czasie nabożeństw niedzielnych, ściągał liczne zastępy Krakowian, którzy w słowach wymownego kapłana znajdywali pociechę po stracie swych ukochanych. Obdarzony zdolnościami literackimi śp. ks. Staich napisał szereg dzieł jak życiorys Brata Alberta, kazanie ku czci N. M. Panny, kazania o Męce Pańskiej, życie Teresy Neumann i inne. W czasach ostatnich na prośbę Komitetu beatyfikacyjnego pracował nad życiorysem Rafała Kalinowskiego, karmelity bosego, zmarłego w opinii świętości. Z szczególniejszym zamiłowaniem studiował Zmarły kapłan problem mariologiczny. a z wynikami swych badań dzielił się w zamieszczanych w czasopismach teologicznych rozprawach oraz w chętnie wygłaszanych kazaniach w kościołach krakowskich. Szczególnie mieszkańcy Krakowa cenili sobie kazania majowe, które ś. p. ks. Staich co roku w kościele mariackim wygłaszał.

Śmierć tego wybitnego kapłana głębokim żalem okryła zgromadzenie albertyńskie i koła jego przyjaciół. Zmarły bowiem był prawdziwym i oddanym przyjacielem dzieła Brata Alberta. On to na prośbę Zgromadzenia napisał o Bracie Albercie popularną broszurkę, która w dwóch wydaniach w języku polskim rozniosła znajomość Brata Alberta szeroko po ziemiach polskich. Dzieło to zostało przetłumaczone na język czeski a w ostatnim roku na węgierski. Śp. ks. Staich myślał również o większym wydawnictwie o przyjaciołach Brata Alberta, a tymczasem za-

mieszczał bardzo interesujące artykuły w kalendarzu oraz w »Naszej Myśli« i Głosie Brata Alberta. Brał udział we wszystkich organizacjach założonych dla spopularyzowania idei albertyńskich i pragnął doczekać się chwili beatyfikacji Brata Alberta. Opiekował się pilnie grobem Sługi Bożego, przeprowadzał ekshumację szczątków Brata Alberta, nad jego grobem corocznie w listopadzie przemawiał, jak również w roku jubileuszowym miał kazanie w czasie wielkiej procesji manifestacyjnej, w sierpniu bieżącego roku, w której wzięły udział tysiące Krakowian. W ostatnich miesiącach przed zgonem, gdy mu Brat Starszy Wincenty opowiadał, że Komitet uchwalił, by tablica na domu Brata Alberta przy ulicy Krakowskiej była wykonana z granitu tatrzańskiego, lecz prawdopodobnie piękna ta myśl nie będzie zrealizowana z powodu braku funduszu, zapytał ile ta tablica będzie kosztować, a usłyszawszy odpowiedź, podszedł do biurka i wyjąwszy 150 złotych, wręczył je Bratu Starszemu, uradowany, że mógł przyczynić się tym datkiem do uczczenia ukochanego



Nad grobem.

Mistrza. Odwiedzający śp. ks. Staicha ze wzruszeniem podziwiali piękny portret Brata Alberta, pędzla artysty Machalskiego wiszący na naczelnym miejscu.

Ufać trzeba, że podobnie jak N. M. P. nagrodziła swego czciciela wypraszając mu zgon w dniu sobie poświęconym, w sobotę, i Brat Albert, którego brązowej tablicy już nie mógł oglądać, będzie mu przewodnikiem w krainie wiecznego szczęścia.

WYSTAWA OBRAZÓW i PAMIĄTEK

Do pięknych osiągnięć Komitetu Jubileuszowego należy zaliczyć drugą z kolei imprezę: wystawę obrazów Brata Alberta i pamiątek w krakowskim Pałacu Sztuk Pięknych. Posłużyła ona w dużym stopniu do należytego uwypuklenia pięknej jego postaci ze strony dotychczas najmniej znanej t. j. twórczości malarskiej.

Nie tak dawno, bo np. 10 lat temu na palcach można było zliczyć obrazy Br. Alberta, o których się wiedziało, że są jego pracami i gdzie się znajdują. Gdybyśmy cofnęli się jeszcze wstecz do chwili śmierci Br. Alberta, to w nekrologach pisanych przez jego przyjaciół znaleźlibyśmy wymienione tylko legendarny »Pogrzeb samobójcy«, »Ogród miłości« i »Wizję św. Małgorzaty«, która miała zapewnić poczesne miejsce Bratu Albertowi wśród polskich malarzy, jak jeden poemat zapewnił Malczewskiemu takie miejsce wśród plejady pisarzy polskich.

Dopiero akcja brata starszego Wincentego za zbieraniem wszelkich pamiątek i śladów życia świetlanej pamięci Założyciela, którą z niesłabnącą energią prowadzi do dziś dnia przy pomocy br. Anioła i szczególnie zasłużonego na tym odcinku br. Viatora, b. redaktora naszego pisma sprawiła, że skoro dojrzała w łonie komitetu myśl urządzenia wystawy sami Albertyni mogli oddać 18 obrazów. Materiału do poszukiwań dostarczyły roczniki naszego pisma a zwłaszcza do niedawna prowadzony dział »Nasze archiwum«.

Jeżeli wspomnieliśmy o trudnościach z odszukaniem obrazów, to musimy podkreślić jeszcze jeden ważny moment, który w znacznej mierze utrudniał prace komitetu. Trzeba pamiętać, że w chwi-

li obecnej, kiedy imię Brata Alberta coraz więcej znane staje się synonimem najszlachetniejszej formy chrześcijańskiego miłosierdzia, to już nie obrazy ale najdrobniejsze szkice mają wartość relikwij i nie pozostają w żadnym stosunku do ich wartości rzeczywistej jako dzieła sztuki. Podejrzliwość, obawa przed uszkodzeniem, albo wprost żal pozbywania się choćby na krótki czas drogiej pamiątki sprawiły, że dużo obrazów pozostanie nadal nieznanymi nie mówiąc już o pozostających za granicą.

Mimo wszystko pp. prof. Rojek, ppłk. red. Dienstl-Dąbrowa, art. mal. Stanaszek przy współpracy i niezwykle życzliwym stanowisku p. dyr. Kramarczyka zdołali w świetlicy Pałacu po raz pierwszy w wystawie zbiorowej rozwiesić około 40 obrazów Br. Alberta.

Dnia 11 września b. r. odbyło się otwarcie wystawy łącznie z wystawą polskich marynistów. W uroczystości raczył wziąć udział najdostojniejszy Protektor Albertynów i jubileuszu JE. Ks. Metropolita Sapieha w towarzystwie JE. Ks. Biskupa Rosponda. Wojewodę krakowskiego reprezentował starosta grodzki dr. Wojnarowski, prezydenta miasta ławnik dr Kuhn, gen. Narbut-Łuczyński, gen. Mond, ks. dziek. Wicher, red. dr M. Dąbrowski, płk. Brożek, br. starszy Wincenty, profesor L. Skoczylas prezes Kom. Org., ks. kan. H. Weryński, red. M. Dienstl-Dąbrowa, dyr. Hajnos, M. Janoszanka, W. Dutkiewicz oraz szereg osobistości ze świata naukowego i artystycznego. Imieniem Komitetu witając Dostojnych Gości prof. Rawicz-Rojek wygłosił następujące przemówienie:

»Zapewne mury tego Pałacu Sztuki nie gościły takiej wystawy, jaką za chwilę raczy otworzyć Książę Metropolita.

Uderza ona skromnością swoją ilościową, jakkolwiek prace Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta rozsiane są po całej Polsce a nawet i za granicą. Ale nie jest ona, choć wygląd jej tak skromny, uboga jakościowo. Jeżeli do kogoś artyzmem swoim nie potrafi przemówić, to niechże, kto ciekawy przeczyta listy lub pamiętniki takich mistrzów jak Gierymscy, Witkiewicz lub Wyczółkowski. A gdyby i to zamało, niech sięgnie do listów Sienkiewicza lub Modrzejewskiej.

Zresztą nie o wydobycie artystycznych walorów chodziło inicjatorom wystawy. Cel jest głębszy. Chcemy pokazać, że na-

wet sztuka, którą niewątpliwie posiadł Adam Chmielowski w stopniu niemal najwyższym, że nawet ta sztuka i artyzm prawdziwie chrześcijańskiej duszy nie dadzą pełni zadowolenia.

Nawet ofiara krwi, podyktowana gorącym uczuciem patriotycznym nie zdołała zaspokoić pragnień i dążeń niewątpliwie najpiękniejszej postaci swojej epoki.

Cele więc chrześcijańskie leżą poza strefą doczesności a w doczesności należy szukać dróg właściwych, które prowadzą do celu ostatecznego: do Boga.

Taką drogę znalazł właśnie Brat Albert.

Dzisiejsza więc wystawa ma się stać jednym ze środków, wiodących nasze społeczeństwo na właściwe drogi. Wszyscy ci, którzy w jakiejkolwiek formie wspomagają zamierzenia Komitetu Jubileuszowego, dają dowody zrozumienia wielkiej idei, idei miłości i miłosierdzia zawsze żywego i twórczego jakie reprezentuje Brat Albert.

Dlatego wdzięczni jesteśmy Księciu Metropolicie za okazaną opiekę i moralne poparcie, wdzięczni Prezydium miasta, które w tym roku dało realny dowód opieki nad ubogimi stawiając dla nich nowy gmach. Wdzięczni jesteśmy Prezesowi oraz Dyrekcji Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych za życzliwą gościnę dla dzisiejszej wystawy.

W tych warunkach i atmosferze życzliwości żywimy nadzieję, że bodaj w części zrealizują się nasze zamierzenia, a Najprzewielebniejszego Księcia Metropolitę prosimy o otwarcie wystawy, która ma być symbolem chrześcijańskiego miłosierdzia.«

Po przecięciu symbolicznej wstęgi goście przeszli do świetlicy Pałacu Sztuki, gdzie pomieszczono obrazy i pamiątki, jak jak paletę malarską, trepy, pasek, okulary, laskę i listy monachijskie do L. Siemieńskiego i inne. Na środku sali, na postumencie okrytym szarym suknem umieszczono płaskorzeźbę K. Hukana. Na wystawie osobną pozycję stanowiły dwa portrety L. Wyczółkowskiego »Brat Albert« i »Miłosierdzie« oraz M. Janoszanki portret Brata Alberta.

Wystawa w całości nie dała nawet w przybliżeniu przeglądu rozwoju talentu plastycznego Br. Alberta z tej przyczyny, że pierwsze i najcelniejsze jego dzieła albo plątają się gdzieś po świecie, inne zaginęły albo uległy zniszczeniu ręką samego twórcy.



Z wystawy obrazów

Jednak z niektórych wystawionych prac przebijał wielki talent kolorystyczny, a charakter kompozycji i temat świadczyły wymownie - jak zresztą całe życie - o niepospolitym pięknie duszy Brata Alberta. Wystawa stała się ważnym wydarzeniem artystycznym Krakowa i dostarczyła moc wrażeń miłośnikom sztuk pięknych i wielbicielom Brata Alberta. Za szczęśliwy pomysł należy się inicjatorom pp. prof. Chomiczowi i Stanaszkowi szczególniejsza wdzięczność jak i pp. red. Dienstl - Dąbrowie i prof. Rojekowi, którzy nie szczędząc starań i pracy potrafili tak pięknie pomysł zrealizować.

Na marginesie wystawy musimy jeszcze wspomnieć, że z okazji otwarcia ukazały się w prasie liczne sprawozdania. W prasie krakowskiej najwięcej miejsca poświęcił I. K. C., zamieszczając kilka artykułów i recenzje ppłk. red. Dienstl-Dąbrowy. W »Orędowniku« zamieścił doskonały — jak wszystkie zresztą — artykuł mgr. J. Bielatowicz p. t. »Brat Albert — święty artysta«, »Głos Narodu« recenzję znanego krytyka dr. Mazurkiewicza, a K. A. P. komunikat ks. kan. mgr. Weryńskiego.

PIERWSZY POMNIK.

Bratu Albertowi dla nieśmiertełności w narodzie nie trzeba stawiać pomików spiżowych. Pamięć jego dobroci, świętości życia i sława wielkich czynów przetrwają dłużej niż twory rąk ludzkich. Skoro jednak entuzjaści jego idei chcieli mocniej zaakcentować złoty jubiłeusz jego dzieła, to nie mogli wybrać więcej właściwej formy jak przyozdobienie najdroższego dla nas miejsca tablicą pamiątkową.

Karol Hukan, wielki artysta, oddał bezinteresownie swój talent i pracę. Śp. Ks. Wł. Staich własnym kosztem i z własnej inicjatywy sprowadził blok granitu z polskich Tatr. Prof. Rawicz-Rojek z pomocą ludzi dobrej woli zebrał materiał do odlania rzeźby. Nawet odlewacz nie wziął pieniędzy tylko przyjął zapłatę w postaci zebranego materiału. W ten sposób, nie kłócący się z ideą Brata Alberta, powstała naprawdę piękna, szlachetna w swej formie pamiątka mająca wskazywać potomnym miejsce, gdzie to w duszę wielkiego Polaka wcieliła się największa idea Chrystusa i Jego doskonałego naśladowcy Biedaczyny z Asyżu.

W dniu 15 października, w godzinach wieczornych zebrały się przed przytuliskiem albertyńskim przy ulicy Krakowskiej tłumy publiczności. Schludnie odnowiona, oświetlona reflektorami ostatnia przystań nędzy krakowskiej po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat stała się przedmiotem tak wielkiego zainteresowania ze strony społeczeństwa. Do domu Brata Alberta przybyli delegaci władz wojskowych, państwowych i kościelnych. Orkiestra krakowskiego pułku piechoty odegrała hymn papieski a następnie na podium wstąpił przewodniczący kom. jub. prof. Rawicz-Rojek, który wygłosił następujące przemówienie:

Kiedy przed 22 laty wyprowadzano z tych murów doczesne zwłoki Brata Alberta — ongiś na świecie Adama Chmielowskiego na wieczny spoczynek na pewno nikt z obecnych wtedy nie przypuszczał, że ziarno czynnego miłosierdzia jego rzucone ręką na krakowską glebę, w tak krótkim stosunkowo czasie tak obfity wyda plon.

A stało się to dlatego, że Brat Albert nie był — jak się ktoś mylnie o nim wyraził — człowiekiem cofniętym w średniowiecze, ale był więcej niż człowiekiem współczesności, bo czło-

wiekiem przyszłości. On nie tylko przyszłość przewidział ale i tę przyszłość budował.

A siły swoje czerpał nie z tego świata, lecz z innej skarbnicy, skarbnicy Bożej, która jest niewyczerpana i wieczna.

Wmurowanie pamiątkowej tablicy na domu, w którym rozpoczął On swoje dzieło i z którego po Polsce całej rozeszli się wierni Jego uczniowie, ma głębsze znaczenie aniżeli sama tylko cześć i hołd dla pamięci wielkiego ducha Brata Alberta. Dom ten ma się stać czymś więcej, aniżeli muzeum pamiątek po Bracie Albercie. Ma się stać czymś więcej aniżeli ogniskiem, skupiającym około siebie ludzi dobrej woli i przyjaciół dzieła Brata Alberta.

Wiadomo nam, że mistrzem Brata Alberta był święty Franciszek z Asyżu. Niechże więc ten dom i ta tablica staną się kamieniem węgielnym pod przyszły polski Asyż.

Z całą ufnością oddajemy pod opiekę miasta tę drogą pamiątkę. Kraków, który umiał sobie zdobyć miano polskiego Rzymu i duchowej stolicy Polski, potrafi niewątpliwie zdobyć sobie miano i polskiego Asyżu, przodując przed innymi w czynnym miłosierdziu.

Ufność naszą utwierdzają czyny. Kraków zdołał wyprzedzić i w tym kierunku inne miasta, kiedy w czasie wielkiej zawieruchy wojennej z inicjatywy Księcia Metropolity zawiązano tu K. B. K., który tak mnogo otarł łez ludzkich.

Dał tego dowód i teraz otwierając nowe schronisko, gdzie biedota ludzka obok chleba i ciepła znajdzie zawsze coś więcej, bo pokarm duchowy i gorące serce.

W pełni więc tej ufności zwracamy się do pierwszego obywatela i włodarza miasta Pana Prezydenta, by zechciał tę tablicę odsłonić, a tem samem dorzucić nowy kamień pod budowę wielkiego dzieła z ducha i w duchu Brata Alberta poczętego.

W odpowiedzi zabrał głos P. Prezydent m. dr M. Kaplicki:

Stoimy w miejscu uświęconym chrześcijańską ideą miłosierdzia — wcielaną w życie. Tu właśnie, w tym samym budynku miejskim, przed pół wiekiem Brat Albert rozpoczął swe wielkie i szczytne dzieło, którego zaczątki powstały w nieistniejącej

już »ogrzewalni«. Ogrzewalni inaczej »norą« zwanej, gdzie lat temu kilkadziesiąt przepędzali w strasznych warunkach noce, biedacy pragnący snu i schronienia przed wichrem, słotą i zimnem.

»W społeczeństwie naszym nie jest jeszcze dostatecznie uznana prawda, że są potrzeby, których ogół nie ma prawa odmawiać jednostkom, a takimi potrzebami są: chleb i dach nad głową. Przyczynę tego ujemnego stanu rzeczy — mawiał Biedaczyna krakowski — upatruję w wygórowanym egoizmie naszych czasów. Gmach miłosierdzia u nas jest bez fundamentów, którymi powinny być schroniska dla bezdomnych, dające im łyżkę strawy i nocleg«.

Takim przytuliskiem, w którym Brat Albert realizował swe głębokie założenia stał się niepozorny budynek przy ulicy Krakowskiej. Jest on dla nas tym droższy, że w nim żył, dzieło miłosierdzia prowadził i świątobliwego ducha oddał Bogu Twórca Zgromadzenia Braci Albertynów.

Obecnie dawne przytulisko ma zostać zamienione na Muzeum pamiątek po krakowskim Biedaczynie. Dziś przypadł mi ten zaszczyt, że mam dokonać odsłonięcia tablicy, wmurowanej ku uczczeniu jaśniejącego miłością i poświęceniem dla bliźnich, Wielkiego Ducha Brata Alberta.

W uroczystym momencie nie trzeba słów — ale wewnętrznego skupienia.

Niech w chwili, kiedy opadnie zasłona, kryjąca tak bliską i drogą postać Brata Alberta, zapadnie głęboko w serca myśl i wskazania — jakie przekazał tym, którzy wstępują w Jego ślady i nam wszystkim: »Powinno się być dobrym — jak chleb. Powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny...«

Piękną uroczystość zakończono odśpiewaniem hymnu o Bracie Albercie do słów J. A. Gałuszki przez wychowanków zakładów albertyńskich z towarzyszeniem orkiestry wojskowej i hymnu »Boże coś Polskę« przez wszystkich zebranych.

Ekscelencjo, Dostojni Goście i Szanowna Publiczności!

Imieniem Komitetu Beatyfikacyjnego Brata Alberta mam zaszczyt powitać Naszego Arcypasterza w osobie Księcia Metropolity Adama Sapiehy, wielkiego jałmużnika Polski i archidiecezji krakowskiej, którego łączyły węzły serdecznej przyjaźni z Bratem Albertem i który udzielił całemu jubileuszowi albertyńskiemu swego dostojnego patronatu. Witam również sędziwego bojownika naszej niepodległości z roku 1863 P. Nowakowskiego, towarzysza broni Brata Alberta, który mimo podeszłego wieku przybył na dzisiejszą uroczystość z Chrzanowa. Witam wreszcie wszystkich, których czarujące imię Brata Alberta zgromadziło w pięćdziesięciolecie założenia Zgromadzenia Albertynów w tej sali.



Prof. LUDWIK SKOCZYLAS

Jakkolwiek sprawa ubogich, bezrobotnych i bezdomnych jest sprawą nawskroś społeczną i może być rozmaicie przez państwo rozwiązywaną, to jednak Brat Albert uważał ją za sprawę religijną i stworzył wzór, jak należy ją rozwiązywać środkami wyłącznie religijnymi. W tym celu powołał do życia zgromadzenia zakonne i oparł je na zasadach trzeciego zakonu św.

Franciszka, a więc na zasadach skrajnego ubóstwa, pokory i wyrzeczenia się. W ciągu 50 lat od założenia pierwszego zgromadzenia albertyńskiego placówki albertyńskie rozwinęły się wybitnie po całym kraju i samym faktem tego rozwoju dowiodły, że towarzyszy im pomoc i błogosławieństwo Boże. Albowiem zgromadzenie to nie mając żadnych zabezpieczonych podstaw materialnych swego istnienia, a powołane do niesienia pomocy materialnej i duchowej najwięcej biednym i opuszczonym ludziom bez różnicy wyznania, płci, wieku i ich przeszłości, mogło istnieć i rozwijać jedynie cudem Bożym. Przeszedłszy początkowo próbę brutalnych napaści i przeciwieństw zarówno ze strony biedoty, którą przygarniało, jak i ze strony grupy socjalistycznych radnych miasta Krakowa, wyszło z wszystkich tych terminów zwycięsko i doczekało się chwili, w której rada miasta Krakowa bez różnicy przekonań uchwaliła jednomyślnie wybudować Przytulisko Brata Alberta kosztem 550 tysięcy złotych. A stało się to właśnie w roku jubileuszu albertyńskiego ku uczczeniu pamięci Brata Alberta.

Sama idea miłosierdzia szerzona przez Brata Alberta jest tak dawną, jak samo chrześcijaństwo. Jej osobliwość na polskim gruncie stanowi jedna z pobudek, która skłoniła Brata Alberta do wyłącznego poświęcenia swego talentu i życia dziełu miłosierdzia. Była nią pobudka patriotyczno - religijna. Brat Albert uważał, że niewola Polski była następstwem prywaty i chciwości dawnych pokoleń. Tylko miłosierdzie pojęte jako obowiązek narodowo-religijny może nam u Boga wyjednać przebaczenie win i przywrócić wolność naszej ojczyźnie.

Idea Brata Alberta pobudziła wielu wybitnych ludzi w Polsce do poświęcenia się dziełu miłosierdzia. W roku bieżącym powstała specjalna organizacja Przyjaciół Dzieła Brata Alberta, która postawiła sobie za cel współpracę z Zgromadzeniem Albertyńskim jako najwłaściwszą drogę realizacji idei Brata Alberta. Będzie to żywy pomnik trwalszy od innych uczczenia pięćdziesięciolecia założenia Zgromadzenia Albertynów.

UROCZYSTE NABOŻEŃSTWO.

W niedzielę o godz. 9-tej J. E. Ks. Metropolita odprawił Mszę św. w bazylice OO. Franciszkanów. Podniosłe kazanie wygłosił O. Anioł kapucyn. W nabożeństwie wzięli udział przedstawiciele władz i społeczeństwa, zgromadzenia zakonne, wychowankowie albertyńscy i liczne rzesze wiernych.

AKADEMIA

KU CZCI BRATA ALBERTA

w Złotej sali Domu Katolickiego w Krakowie
w dniu 16 października 1938 r.

1. **Zabielski: Kantata**
   orkiestra 20 p. p. pod Dyr. Kpt. Fireka
2. **Słowo wstępne**
   Prof. Ludwik Skoczylas
3. **Chmielewicz: Balladyna poemat symf.**
   orkiestra 20 p. p.
4. **Gomółka: Psalm I. „Szczęśliwy mąż“**
   chór Cecyliański pod dyr. Prof. Nowaka
5. **„Brat Albert duszę dał“**
   Ks. Rektor Konstanty Michalski
6. **Wagner: „Ecce quam Bonum“**
   chór
7. **Przemówienie por. weterana 63 r.**
   Ludwika Nowakowskiego
8. **Ks. Kreitmayer: „Mirabilis Deus“**
   chór

»Boże coś Polskę« orkiestra wychowanków Braci Albertynów.

Niżej podajemy teksty wymienionych przemówień.

BRAT ALBERT DUSZĘ DAŁ

I

Hasło bezustannej rewolucji rzucono dzisiaj w świat, zapominając o tym, że taka rewolucja trwa niemal od dwóch tysięcy lat. Ideę i przykazanie nowej miłości ogłosił bowiem Chrystus w decydującej chwili, kiedy stanął między dwoma ołtarzami, między Golgotą a Wieczernikiem. Tu, w Wieczerniku, łamał poraz pierwszy chleb z Apostołami i zakonsekrował ich na kapłanów. Tam, na Golgocie, widzi drugi swój ołtarz, na którym stanie i jako ofiarnik i jako ofiara.

Na nowość miłości wskazywały już dwa ołtarze, wśród których ją ogłoszono. Miłość miała być kapłańską, bo jej przykazanie zwracało się do zakonsekrowanych w Wieczerniku Apostołów; miała być ofiarną aż do śmierci, bo poprowadzi najpierw samego Chrystusa na Golgotę. W swej mowie Arcykapłańskiej powraca Chrystus dwa razy do nowego przykazania, by się nikt nie pomylił, na czem jego nowość polega. Skoro On sam jako Najwyższy Kapłan nowego zakonu da duszę swoją w dobrowolnej ofierze, więc wszyscy, co nosić będą w sobie kapłańskie znaki czy charaktery, będą musieli dawać swą duszę za innych, za braci. Na tym bowiem polega cała istota i cała nowość przykazania miłości, że będzie trzeba dawać własną duszę, jak swoją dał Chrystus za wszystkich. Kto w jakikolwiek sposób uczestniczy w Jego Arcykapłaństwie, kto nosi znaki czy charaktery sakramentalne chrztu św., bierzmowania lub prezbiteriatu, ten raz po raz usłyszy w swym sumieniu głos, że duszę swoją musi dać.

Nie było przykazanie martwą literą, lecz płomieniem ofiarnym, od którego zaczął się palić ludzki świat od pierwszego aż do ostatniego męczennika. Dawano duszę na raz, całopalnie i dawano ją kropla po kropli w codziennym trudzie Dawali ją wszyscy, co czuli w sobie sakramentalne charaktery

Pamiętamy jak dała swą duszę za innych, za naród polski i naród litewski, za uniwersytet i za ostatniego biedaka nasza wielka Jadwiga, co Bogu i nam służyła pod królewską koroną. W dzień jej śmierci zapisał jakiś krakowianin w swym kalendarzu:

Zmarła dziś w południe najjaśniejsza Pani Jadwiga, królowa Polski i dziedziczka Węgier, wzór wszelkich cnót, pokorna i łaskawa matka sierót, której podobnego z królewskiego rodu człowieka nie widziano na całym obszarze świata. Pragniemy, żeby za to wszystko stanęła na naszych ołtarzach.

Nie pod koroną lecz w szarym jak ziemia habicie przywarł do Skałki na przeciwko Wawelu i wielkiej Jadwigi dziwny człowiek, co zamknął się z krakowską nędzą w nędznej jak ona ogrzewalni miejskiej. Dziwiono się tej postaci, ale też rozumiano, że idzie z niej coś takiego, jak permanentna rewolucja. Duszę swoją dawał Brat Albert za tych, za których w Krakowie już nikt jej dać nie chciał. Dosłyszał w sobie głosy znaków sakramentalnych i związanej z nimi nowej, kapłańskiej miłości; dosłyszał głosy, które wołały do niego w pewnej chwili całą przerażającą potęgą naszej nędzy z końca XIX wieku: »Duszę swoją dasz?« Marzył Adam Chmielowski w swej wyrafinowanej wyobraźni o tym, że z pod jego pędzla będzie wychodziła *ars sacra*, że jak Fra Angelico w zakonnym habicie będzie brał z kontemplacyjnej modlitwy tematy do swych obrazów, a jednak w decydującej na całe życie i całe szczęście chwili odpowiedział na pytanie heroicznie: »Dam«.

Kto na taką decyzję spojrzy nie z wyżyny chrześcijaństwa lecz z poziomu własnego szczęścia i zwykłego, ludzkiego rozumowania, dozna w sobie wstrząsu jak Nienaski z »Kuszenia Judasza« Żeromskiego. Przeczuje w tym jakiś niezrozumiały heroizm, lecz ucieknie od niego jak od strasznej pokusy, bo mu się będzie zdawało, że cały świat odwraca się w jego oczach do góry nogami. Odczuł w sobie Adam całą potęgę nowej, kapłańskiej miłości i dlatego duszę swoją dał tam, gdzie inni dać nie chcieli, nie umieli.

Niemal całe dzieje Brata Alberta włożył Leon Wyczółkowski w ten portret, gdzie z ziemistej opończy Brata rodzi się tęcza cudna jak legenda, ale cudniejsza jeszcze przez to, że wyświetla na zewnątz ten heroizm i tę nową miłość, która jak spalający płomień zajęła sobą całą istotę dziwnego człowieka.

By zrozumieć głęboką przemianę w duszy Brata Alberta, można do niej podejść trzema drogami. Na pierwszą drogę wprowadza nas Charlotta Bühler w książce »O przebiegu życia

ludzkiego jako o zagadnieniu psychologicznym«. Bywa czasem tak, że w samo niemal południe swego żywota człowiek zaczyna odczuwać głębokie niepokoje, zaczyna dochodzić do wniosku, że jego powołanie znajduje się gdzie indziej aniżeli sądził, że zatem trzeba zmienić dotychczasowy tor nawet za cenę osobistego szczęścia. Zazwyczaj przez takie przesunięcie się dominanty w życiu nie znika bynajmniej to, co dotąd zajmowało myśli i serce, a tylko otrzymuje nową rolę do spełnienia. Dominanta przesuwa się w rozmaitych kierunkach.

Wiemy, jak silnie oddziałał Van Gogh na malarstwo XIX wieku. Żył zaledwie 40 lat, a jednak pchnął współczesny sobie impresjonizm na nowy tor, zadziwiając swą inicjatywą starszych od siebie kolegów paryskich. Żył zaledwie 40 lat, przeprowadził zachodnie malarstwo na nieznane dotąd drogi, a przecież i on doznał w swym życiu przesunięcia się dominanty. Zaczął Van Gogh nie od malarstwa lecz od służby dla biednych, dla źle płatnych robotników. Mieszkał z najbiedniejszymi i dzielił z nimi twardy ich los. Wyczerpał się psychicznie i moralnie tak dalece że aż sam się wykolejał, tracąc jasność spojrzenia z umiłowania nędzarzy. Daremne były przestrogi brata i rodziców — trzeba było niewidzialnego tchnienia, co rozpala iskrę talentu w twórcze płomienie, by wydobyć Van Gogha z nędznej nory i wprowadzić w świat piękna artystycznego. Dokonało się przesunięcie się dominanty w jego życiu. Wprawdzie nigdy nie stracił uczucia braterstwa dla pokrzywdzonych, lecz twórcze jego zdolności należały odtąd całkowicie do sztuki.

Jeżeli Van Gogh rzucił swą norę, by chwycić za pędzel i paletę, to Adam Chmielowski w południe swego życia postąpił wprost przeciwnie, gdyż rzucił pędzle, by się zamknąć w jednej ogrzewalni z tymi, przed którymi już wszystkie drzwi się pozamykały. Ze sztuką nie zerwał całkowicie Brat Albert; jeszcze raz po raz na chleb dla biednych coś namalował, lecz jego najlepsze siły należały odtąd do »opuchlaków«.

Na drugą drogę wprowadza nas współczesna dyskusja nad istotą chrześcijańskiego humanizmu. Mówi się o jego teocentryźmie w przeciwieństwie do każdego humanizmu ateistycznego. Z tym wszystkim takie ujęcie nie wystarcza i nie zadawalnia, gdyż każdy humanizm musi w jakiś sposób dotknąć tego, co

w człowieku stanowi jego piękno. Taką postawę zajął kiedyś Dante, kiedy w Convivio wskazywał na ziarno duszy i ziarno łaski jako na dwa źródła wewnętrznego ludzkiego i nadludzkiego piękna. Każde takie ziarno rozkwita w życie duchowe o właściwym sobie pięknie. Bywa tak, że piękno rozkwita tylko w wyobraźni lub intelekcie, nie dotykając serca i woli tak, iż poprzez całe ludzkie jestestwo odzywa się wewnętrzny, żywy rozdźwięk. Trzeba mieć w sobie wielką wrażliwość na piękno we wszelkiej jego postaci. Trzeba mieć zdolność, by dostrzec zagadnienia piękna w jego metafizycznej głębi, żeby zauważyć, że na dnie duszy samego człowieka tkwi obraz piękna bożego Nie tylko malarzem lecz i religijnym filozofem był Chmielowski, kiedy stwierdzał, że dziedzina piękna sięga tak daleko, jak daleko sięga byt. Jego przyjaciele monachijscy nazywali go Platonem, bo i w Platonie się rozczytywał i jak Platon ciągle wracał w dyskusji do odwiecznego Piękna, którego śladów należy szukać w całej stworzonej rzeczywistości. To też skoro przesunęła się dominanta w jego życiu stal się z artysty w jednej postaci artystą w postaci innej. Jak zrazu szukał piękna w wytworach sztuki, tak potem szukał go na dnie ludzkiej duszy także pod łachmanami nędzy.

Na trzecią drogę wprowadza nas genialny przyjaciel Chmielowskiego, Maks Gierymski, który napisał o nim dziwne zdanie w swym Dzienniku: Nieszczęściem (tego człowieka) było, że chciał łączyć w jedno teorię z praktyką, życie naginać do potrzeb poetycznych, że żądał od siebie więcej niż natura dała człowiekowi, niż mu dać mogła. By zrozumieć tę myśl trzeba zauważyć, że Gierymski był niewierzącym i tyle razy nazywał w swym Dzienniku religię jedyną poezją ludu. Stąd mówiąc o potrzebach poetycznych Chmielowskiego, miał na myśli jego żywą religijność. Istnieje zresztą w naturach artystycznych głęboka analogia i powinowactwo między ich aspiracjami do piękna a zasadniczą dążnością do Boga. Trzeba tylko dodać, że Gierymskiemu chodziło w tym wypadku nade wszystko o zgodność między myślą teoretyczną o tym lub innym pięknie a własnym życiem człowieka. Żalił się w jednym ze swych listów Krasiński, że przez niego płynie strumień poezji, ale on sam poezją i pięknem nie jest. Nie chciał Chmielowski pozostawać tylko w świe-

cie swych marzeń i dlatego wszelką wewnętrzną antynomię usiłował w sobie zwalczyć za wszelką cenę, nie zdając sobie może nawet sprawy z tego, że w samym sercu jego dążności odzywała się coraz głośniej ta nowa miłość, co duszę swoją każe dać. To też nie nieszczęściem lecz jego wielkością było to, że łączył w jedno teorię z praktyką, że podnosił swe życie do wyżyny piękna religijnego, że dawał ze siebie więcej aniżeli natura dać może.

Miał zaledwie siedemnasty rok życia, nie skończył jeszcze pierwszego roku politechniki w Puławach, kiedy na pierwsze hasło poszedł z puławską siódemką straceńców do szeregów Frankowskiego. Gdy dostał się do niewoli, gdy go zamknięto w Ołomuńcu, wykradł się z więzienia, by jeszcze raz duszę swoją dać za sprawę polską. Wlókł za sobą żelazną rurę na kikucie nogi zamiast protezy na świadectwo tego, że za wolność kraju duszę swoją dawał.

Dawał ją także w swej twórczości artystycznej, zadziwiając tym swych monachijskich przyjaciół z lat 1869-1874. Zwykle się opowiada, jak to od niego otrzymał Maks Gierymski impuls do



tematów z powstania styczniowego, jak to od niego zdobył tajemnicę wydobywania na płótnie pewnych efektów świetlnych. Dziennik Maksa dowodzi jednak, że tam chodziło o wpływy całkiem inne, głębokie. Także St. Witkiewicz wyznaje, że Adam wyzwalał w Monachium starszych i młodszych przyjaciół z pęt szkolnictwa i utartych konwenansów.

Czytajmy listy Chmielowskiego do Siemieńskiego, pytając się ciągle czego w sztuce nie znosił, a czego od niej żądał. Dostrzeżemy natychmiast, że zwalczał tezę, jako by technika, rysunek i kolor były w malarstwie wszystkim, a poezja i marzenie nie odgrywały tam pierwszej roli. Powtarzał, że kto idzie za taką tezą, popada w manierę i musi wreszcie znaleść się na jednej z dwóch dróg: albo będzie się uganiał za ekscentrycznością kolorów i sytuacyj, jeżeli zapragnie rozgłosu, albo też zamieni artystyczne atelier na fabrykę, jeżeli pocznie szukać pieniędzy. Dla pieniędzy malował w Monachium Foltz same krowy tak, jak Fr. Adam malował niemal same konie, ktoś inny same zachody słońca, a Pilotti wracał ustawicznie do efektów księżycowych. W ten sposób Chmielowski malować nigdy nie chciał, a tylko wyznał pod koniec pierwszego roku studiów monachijskich, że jeżeli nie otrzyma od Dzieduszyckiego stypendium, jeżeli mu braknie chleba, to nie czując się gorszym od innych, potrafi sobie wyrobić »manierę«, by zarabiać na utrzymanie.

Nie o chlebie i manierze myślał w samej rzeczy, lecz o szczerej, wielkiej sztuce, w której by mógł duszę swoją dać. Lubił orgię kolorów Makarta, bo sam kochał bogactwo kolorytu jak nikt inny, ale to mu wystarczyć nie mogło, to było tylko środkiem a nie rzeczą w sobie i dla siebie. Zaglądał chętnie do starej pinakoteki, bo tam mógł pić piękno u samego źródła a nie z konewki, jak mawiał, tam mógł się wpatrywać w ulubionego Van Dycka i Velasqueza; zaglądał zwłaszcza do gabinetu Schacka, bo tam pociągał go do siebie Feuerbach, a już wprost oczarowywał Böcklin. Pisał do Siemieńskiego, że u Böcklina nie widzi się sztuczek, lecz odczuwa się »bolesną poezję«, która w każdym widzu rozbudza myśl i marzenie. Posłał też kiedyś Siemieńskiemu rysunki Retla, które uważał za doskonałe, ponieważ widział w nich ekspresję.

Zauważmy jeszcze jedno. Przyznawał Chmielowski, że otoczenie, opinia, nabyte wiadomości i świat zewnętrzny wpływają na dzieło sztuki, lecz od razu dodawał, że o wszystkim rozstrzyga dusza, postawa i konstytucja artysty. Kto maluje szczerze, maluje z duszy, maluje tak, jak go Pan Bóg stworzył.

Współczesny typolog zapyta, jakim stworzył Pan Bóg samego Adama Chmielowskiego, do jakiego należałoby go zaliczyć typu. Wskazówki do odpowiedzi znajdują się zapewne w listach znajdują się tam, gdzie Adam mówi, że w świecie rzeczywistym nie czuje się dobrze, że raz po raz zamyka się w własnym świecie, w świecie marzeń i »michałków«. Niewątpliwie dlatego nie lubił malarstwa historycznego, że przez swój realizm zamykało drogę jakimkolwiek marzeniom. Wskutek swej marzycielskości i postawy introwersyjnej sięgał więc do własnego świata »michałków« lub do tematów zmroku dziejowego, skąd jeszcze ciągle może się rodzić bajka, legenda i marzenie. Chciałby malować bajkę o kwiecie paproci i o księżniczce, co miała rańtuch w gwiazdy, a szaty w księżyce. Malował Siestę włoską z czasów wczesnego renesansu i Idyllę, natchnioną przez Teokryta. W tym wszystkim mogła się do pewnego stopnia wypowiedzieć jego dusza, to pewna, ale co drzemało na samym jej dnie odezwało się dopiero w chwili, kiedy po Idylli zaczął malować bajkę o dobrym synu, co szedł po wodę życia do źródła, które wytrysło gdzieś tam za górami i lasami. Mniejsza o to, że dostrzegł Adam, jak trudno w obrazie przedstawić w skrócie całą treść bajki i jej dynamikę, — mniejsza o to, bo w tej chwili stanęło przed nim po raz pierwszy inne nowe pytanie. Zwracał dotąd swój wzrok do wewnątrz, do świata michałków; teraz z głębin jego duszy wynurzyło się pytanie, czy można się oddać sztuce z całego serca i ze wszystkich sił, nie popadając w bałwochwalstwo. Żądał od artysty, żeby jego dusza i dzieło sztuki były czymś jednym, gdyż inaczej zjawi się zimna maniera. Jeżeli artysta ma malować z całej swej duszy a nie służyć dwom panom wbrew woli Chrystusa, zostaje mu tylko jedno wyjście, to, które wskazał Fra Angelico, obierając malarstwo religijne jako zadanie swego życia. Tam, w malarstwie religijnym, mogłoby się duszę dać, mogłoby się ją wypowiedzieć aż do najdalszych jej głębin. Zakończył Adam swe refleksje w liście do Siemieńskiego dwiema

uwagami, z których jedna wskazuje na trudności związane z malarstwem religijnym, a druga zawiera decyzję. Trudność polega na tym, że na świecie nie podobna marzyć o tematach religijnych, bo trzebaby wpierw duszę oczyścić i uświęcić. Trudność rozwiązał Fra Angelico w ten sposób, że wstąpił do klasztoru św. Dominika. Ani jednym słowem nie wspomina Adam, jako by chciał jak Beato Angelico pójść do klasztoru, lecz zato bardzo jasno wypowiada postanowienie: chcę u Boga uprosić łaskę — żebym mógł przejść do malarstwa religijnego.

Przed wszelkimi psychologami, co sięgają do podziemi podświadomości, powiedział pięknie św. Paweł, że ziarno wsiane w glebę musi tam jak by obumrzeć, musi czekać, dopóki nie odczuje na sobie promieni wiosennego słońca. W duszy Chmielowskiego ziarno z okresu monachijskiego musiało czekać jakie ośm lat na swoje słońce.

W Warszawie (1875 — 1879) spotkał dawnych przyjaciół monachijskich J. Chełmońskiego i St. Witkiewicza i zyskał nowych, Antoniego Piotrowskiego i Helenę Modrzejewską i zapoznał się z Henrykiem Sienkiewiczem. Jeżeli na jego obrazy z lat monachijskich rzucają wiele światła listy do Siemieńskiego, to także obrazy z okresu warszawskiego nie pozostają bez komentarza. Trzeba tylko zwrócić uwagę na fakt, że w tym samym roku (1876) wystawił w stolicy swój »Ogród miłości« i ogłosił w Ateneum rozprawkę »O istocie sztuki«.

Kto spojrzy na Ogród miłości, przypomni sobie zapewne to, co Chmielowski w listach uznał za istotne cechy obrazu Böcklina: bolesną poezję, marzycielstwo i nieobecność łamanych sztuczek. Jednak w Ogrodzie poza bolesną poezją i marzycielstwem odzywa się jeszcze dusza, która by chciała siebie dać, chciałaby oddać całe swe jestestwo.

Skoro już w listach uznał, że artysta i jego obraz są czymś jednym, to Ogród i rozprawka O istocie sztuki nawzajem się uzupełniają i tłumaczą. Mniej nas interesuje część krytyczna rozprawki, gdzie się dowiadujemy, czym sztuka nie jest i być nie powinna. Ślizga się po powierzchni sztuki, kto w niej widzi tylko technikę, tylko manierę, albo pyta się o temat utworu artystycznego, o jego tytuł, wątek czy przedmiot. Techniki, maniery czy „sztuki« trzeba się nauczyć, lecz to bynajmniej do

prawdziwej sztuki nie wystarcza, tematy można brać z różnych dziedzin życia a przecież nie zmienia się przez to sama istota dzieła artystycznego. Obiera się błędną drogę, jeżeli się chce poznać istotę sztuki, zatrzymując się tylko na temacie i technice. Błędną drogę obiera także ten, kto jak Karol Blanc (Grammaire des arts, Paris 1870) wychodzi z definicji piękna, wzniosłości i stylu, by potem przeprowadzić dedukcyjne rozumowanie, gdyż pozostanie dla nas tajemnicą, dlaczego oddziałujemy bezpośrednio inaczej na jedne dzieła sztuki, a inaczej na inne.

By poznać istotę piękna, należy wyjść nie z definicyj, lecz z ludzkiej duszy, bo tam przede wszystkim znajduje się źródło piękna. Jaka dusza artysty, takie i jego dzieła — wielkie lub małe, bogate lub mizerne. Nie może sztuka służyć żadnej innej dziedzinie jako jej środek lub narzędzie, choć też z drugiej strony nie może się zamknąć w sobie pod grozą śmierci. Zamiera prawdziwa sztuka, jeżeli nie wchodzi w strumień współczesnego życia, a na jej miejscu zaczynają rozrastać się sztuki i maniery. Z techniką powinno się złączyć życie duchowe, gdyż istota sztuki polega na zdolności do ekspresji takiego życia w tym lub innym stylu. Powtarza ciągle rozprawka, że nie ma sztuki bez wypowiedzenia się duszy, a dusza się nie wypowie, kiedy ma w sobie pustkę, kiedy nie odczuwa od wewnątrz bogatej dynamiki, co rodzi się nie tyle z myśli, ile raczej z uczuć. Zarówno technika jak i dynamika życia duchowego są potrzebne, lecz dynamika góruje i górować powinna nad wszelką techniką, nad rysunkiem i kolorem. Zaczyna się tu u Chmielowskiego odzywać to, co zapadło w jego duszę jako ziarno, gdy malował bajkę o dobrym synu: porównuje bowiem ze sobą Rafaela i Fra Angelica, by zawyrokować, że w ekspresji przewyższa Fra Angelico Rafaela, bo miał bogatszą duszę chociaż słabszą technikę. Także w tej rozprawce wraca myśl, że artysta musi przede wszystkim dawać z bogactwa swej duszy. Wobec tego nie dziwi nas wcale, że Chmielowski rozszerza dziedzinę sztuki, dowodząc, że każdego człowieka należałoby uznać za artystę, jeżeli tylko posiada bogate życie wewnętrzne i umie je wyrażać w pewnym stylu. Tworzy piękno rzeźbiarz i aktor, malarz i kwieciarka. Jak Bóg wypowiada się w każdym stworzeniu bez względu na jego wielkość, tak człowiek wypowiada się jako artysta bez względu na temat i materiał, byle by miał szczerą i bogatą duszę.

Widocznie w stolicy jak poprzednio w Monachium nie czuł się dobrze w świecie rzeczywistym, skoro wracał do swych marzeń, do michałków. Widocznie myśl o malarstwie religijnym i w Warszawie go nie opuściła, skoro wspomina o zdolności ekspresyjnej Fra Angelica; widocznie coraz silniej odzywało się w nim pytanie: duszę swoją dasz?

Zamieszkał we Lwowie w latach 1879/80, by tam znaleść nowego przyjaciela, L. Wyczółkowskiego i doznać w swym życiu wyraźnego przesunięcia się dominanty. Poczęła się najwidoczniej dominanta przesuwać, bo Bóg teraz wysłuchał jego modlitwę, by jak Fra Angelico mógł malować na tematy religijne. Istotnie niemal jak Fra Angelico malował wizję św. Małgorzaty, gdzie na widok Chrystusa święta zdaje się wołać w zachwycie głosem Chmielowskiego: duszę swoją dam. Mimo wszystko zatrzymamy się na innym obrazie, na Ecce Homo, który według Wyczółkowskiego w tym samym czasie znalazł się na sztalugach Chmielowskiego.

Będąc dwa lata temu we Lwowie, poszedłem do Ks. Metropolity Szeptyckiego, chcąc zobaczyć u niego Ecce Homo, gdyż nie wiedziałem, że obraz przeniesiono już do muzeum archidiecezjalnego. Chciałem pójść do muzeum, ale przykuty przez chorobę do miejsca Ks. Metropolita zaproponował, żeby zaczekać, bo obraz przyniosą do salonu i będzie można razem mu się przybatrzeć. Widocznie chciał coś ciekawego zauważyć, bo w jego oczach zapaliły się blaski, skoro tylko obraz stanął w miejscu. Niech ksiądz patrzy, zawołał z uniesieniem, niech ksiądz patrzy' To przecież nowy, genialny sposób przedstawienia Serca Pana Jezusa. Picasso czasem zniekształcał jakieś szczegóły w budowie anatomicznej człowieka, kiedy chciał wydobyć na wierzch niedostępny dla innych szczegół duszy. Brat Albert zdeformował trochę ramię Chrystusą, lecz co z tego wyniknęło. Niech ksiądz popatrzy. Czerwona chlamida opada z ramion tak, że zarysowuje na ubiczowanej piersi Chrystusa olbrzymie serce. Cały Chrystus zamienia się w serce To zbiczowane Boże serce. Ilekroć teraz sam spoglądam na reprodukcję Ecce Homo widzę zawsze to olbrzymie Boże Serce przecięte z ukosa kilku razami z biczowania.

Malując swe dwa religijne obrazy ulegał Chmielowski głębokiej przemianie wewnętrznej, czując coraz bardziej, że przesuwa się dominanta w jego życiu, że raz oddanej Chrystusowi duszy już dla siebie odebrać nie potrafi; czuł, że zbliża się jego »nieszczęście«.

Zapytajmy się, czy mamy jakiś komentarz do tych przemian duchowych, które się dokonały pod wpływem malowania obrazów religijnych, czy mamy coś takiego, co by mogło odegrać podobną rolę, co listy z Monachium lub rozprawka o istocie sztuki. Odpowiemy trochę paradoksalnie, wskazując na dwa inne obrazy z czasów lwowskich: na myśli mamy obrazy, które się znajdują obecnie u rektora K. Kostaneckiego. Co się dzisiaj nazywa Cmentarzyskiem, nazywało się w roku 1880 »We Włoszech«, a rzekomy »Kardynał« nazywał się »Szarą godziną«. Na powstanie obydwu obrazów patrzał Wyczółkowski, zostawiając nam o nich szereg notat, które otrzymałem do dyspozycji od p. Kleczkowskiego, prof. U. J. Według Notat »Cmentarzysko« powstało na płótnie, na którym już widniała leśna boginka, a sam Wyczółkowski miał domalować kwiaty. Coś się jednak już działo w duszy Chmielowskiego, coś, co szło z przeżywania tematów religijnych, bo wróciwszy pewnego dnia do domu, zamalował boginkę, by na jej miejscu malować »Cmentarzysko«. Na pomniki i drzewa spływają z czarnych chmur i ciemnego nieba grube mroki, a tylko dwie smugi czerwieni palą się jeszcze na widnokręgu. Drugiemu obrazowi należałoby wreszcie przywrócić dawną nazwę »Szarej godziny«, bo co to za »kardynał« z zasuniętym na głowę kapturem! Zresztą Wyczółkowski zapisuje w swych Notatach, że osobą siedzącą na ławce jest sam Chmielowski. Jeżeli w »Cmentarzysku« czerwienią się smugi, to tu, w »Szarej godzinie« zapaliły się zorze na siedzącej postaci. Dodają jeszcze Notaty, że Chmielowski widocznie od wewnątrz się przekształcał: zapisują, że idąc do teatru z Wyczółkowskim, nagle zawrócił do domu, że chwalił kiedyś tego, co wróciwszy z sali koncertowej kazał się zamurować w pustelniczej celi. Nastąpiło wreszcie pożegnanie serdeczne z Wyczółkowskim, takie, że niemal dwóch malarzy nie poszło do zakonu O. O. Jezuitów. Zapukał jednak do furty nowicjatu w Starej Wsi 24 września 1880 roku sam Adam Chmielowski.

Wskazują Notaty, że Chmielowski, malując obrazy religijne, zaczął się zmieniać, wypowiadając równocześnie zmiany swej duszy w dwóch innych obrazach, w »Cmentarzysku« i w »Szarej godzinie«. Wszak według rozprawki warszawskiej na tym polega istota sztuki, że daje się z bogactwa swej duszy. Wyraził Chmielowski tajemnicę swego życia w mrokach obrazów, w mrokach, które go odgradzały od świata w chwili, kiedy w nim samym zapalały się zorze nowego istnienia. Jedne obrazy stały się komentarzem dla drugich: by jednak tak je ująć, trzeba było patrzeć na Chmielowskiego jak Wyczółkowski lub też odczytywać jego Notaty.

Nie znał przemian w duszy Chmielowskiego Henryk Sienkiewicz, pisząc w Gazecie Polskiej z roku 1881 sprawozdanie z warszawskiej wystawy Krywulta, gdzie się znalazły także lwowskie obrazy Chmielowskiego. Nie podobał mu się rodzaj malowania Chmielowskiego. »Szara godzina« pisał, ... ma .... w sobie coś mistycznego, co jest właściwym tej porze. Chmielowski zdaje się być nieprzyjacielem określonych kształtów, a przyjacielem cienia, który je roztapia, mąci i pokrywa jakąś tajemnicą. I z innych jego obrazów zauważyliśmy ten kierunek (H. Sienkiewicz, Pisma, Publicystyka, wyd. L. Biernacki, t. V. s. 91). Gdzieindziej nazywa się Chmielowski skłonnym do mistycyzmu ekscentrykiem, który źle rysował i malował Cmentarzysko (We Włoszech), rozmiłowawszy się w cieniach. Więcej talentu w rysunku i kolorze okazał w Wizji, gdzie się wybija na czoło naiwność prerafaelitów. Mniejsza o to, że Sienkiewicz mówi o Wizji św. Teresy zamiast o wizji św. Małgorzaty, bo wchodzą tu w grę ważniejsze momenty. Najpierw nie godził się widocznie Sienkiewicz na tezę Chmielowskiego, jakoby rysunek i kolor a nawet temat były tylko środkiem do ekspresji dynamiki uczuciowej malarza; nie patrzał też na przemiany duchowe Chmielowskiego jak Wyczółkowski; — nie widział, że Cmentarzysko i Szara godzina wyrażały to, co się stało w duszy ich autora, gdy przystąpił do tematów religijnych; nie widział, że jedne obrazy były komentarzami innych, religijnych.

Pytał się Adam w listach monachijskich i w warszawskiej rozprawce, czy sztuka nie wchodzi na drogę bałwochwalstwa, kiedy sama siebie ubóstwia, upatrując w sobie samej swój cel.

Widział jedną drogę wyjścia z trudności, tę żeby się zwrócić do tematów religijnych, żeby je malować szczerze i z czystą duszą. chociażby na to trzeba jak Fra Angelico wstąpić do klasztoru i duszę swoją dać, wydźwignąć ją do wyżyn piękna i poezji, trzebaby złączyć w jedno teorię i praktykę. Tę postawę ducha dostrzegał u swego przyjaciela już Maks Gierymski, będąc w Monachium powiernikiem jego tęsknot — i nazwał to »nieszczęściem«.

Tym swym »nieszczęściem« był Chmielowski szczęśliwym w pierwszych miesiącach nowicjatu w Starej Wsi, dopóki nie nadeszło straszne doświadczenie boże, dopóki wśród rozmyślania rekolekcyjnego o śmierci nie wypełniły duszy gęste mroki. Nie przewidywał Adam, że tak długo będzie odprawiał rekolekcje, że opuści nowicjat, by się leczyć we Lwowie i u swego brata Stanisława w Kudryńcach. Dopiero świątobliwy prałat Pogorzelski z Szarogrodu wyprowadził go z mroków na jasny gościniec, gdzie dojrzał, że można duszę swoją dać tak, jak ją dał kiedyś św. Franciszek z Asyżu. Wszak od gorącej duszy tego świętego zapalił się malarski geniusz Giotta jak i płomień szerokich rzesz tercjarskich. Malował i odnawiał obrazy w wiejskich kościołach na rosyjskim Podolu, rozbudzał ruch tercjarski wśród rzesz włościańskich, do póki się nie stało, co się stać musiało. Pod grozą Sybiru musiał opuścić Podole, by się na zawsze przenieść do Krakowa.

II

Zjawił się Adam Chmielowski w Krakowie w chwili, kiedy tam dla jednych istniały polskie Ateny, dla innych istniał polski Rzym, a dla innych siedlisko polskiej nędzy. Chmielowski zaglądał do każdego z trzech światów, by wreszcie z jednym z nich, z polską nędzą, zamknąć się w miejskiej ogrzewalni.

Był Chmielowski artystą, więc nic dziwnego, że zapraszały go do siebie polskie Ateny, że bywał i dyskutował gorąco o sztuce w salonach Ludwika Michałowskiego i u Konstantego Przeździeckiego, sięgając jeszcze raz po raz do palety i pędzlów.

Był artystą, lecz czuł, że z nieuchronną siłą idzie na niego jego »nieszczęście«, że będzie musiał duszę swoją dać całopalnie i heroicznie. Począł zatem szukać w Krakowie polskiego Rzymu. Powstaniec z roku 1863 u wszystkich towarzyszy broni znajdo-

wał otwarte drzwi i serce U krakowskich kapucynów żył wówczas kochany przez wszystkich powstaniec sybirak, O. Wacław Nowakowski. Ilekroć jakiś inteligent szukał »dobrego« spowiednika, odsyłano go z reguły do O. Wacława, zapowiadając, że głębiej wzruszy się zapewne spowiednik aniżeli penitet. Tak bardzo szanował były skazaniec swą więzienną siermięgę z Sybiru, że ją nakładał pod habit na wielkie swięta. Przez kilka miesięcy żył Chmielowski pod jednym klasztornym dachem ze swym przyjacielem, przyjął z jego rąk prowizoryczny habit popielatego koloru, ale ostatecznie do kapucynów nie wstąpił.

Powstaniec zawsze powstańca odnalazł. Na ulicach Krakowa zjawiała się wówczas wysoka, szczupła postać karmelity O. Rafała Kalinowskiego, sybiraka.

Należał on niezawodnie do innego typu psychicznego aniżeli Adam. Wydawał się na zewnątrz surowym, a jednak i za życia wszystko do niego się garnęło i po śmierci z wdzięczności, z dobrego serca dosłownie roznoszono ziemię z jego grobu po całej Polsce. Z rozmów z o. Rafałem wyniósł Chmielowski na całe życie szczery kult dla św. Jana od Krzyża. Odtąd będzie mu wszędzie towarzyszyła oprawna w workowe płótno książka, którą będzie tłumaczył i sobie i obydwom swym zgromadzeniom. Pisma św. Jana od Krzyża rozjaśniły Adamowi drogę przeżyć mistycznych, na ktorej zapewne już wówczas się znajdował. Później wyda już dla swych zgromadzeń jego Przestrogi w języku polskim.

W międzyczasie osiadł Chmielowski przy ulicy Basztowej gdzie jedyną swą izbę przedzielił kotarą na dwie części, zajmując jedną z nich dla siebie i swego atelier, a w drugiej umieścił zebranych z ulicy biedaków. Kotara była zresztą czystą fikcją, gdyż po jednej jak i po drugiej jej stronie wyglądało mniej więcej tak samo. Nie było tam nigdy spokoju, ciągle żalili się sąsiedzi, a tylko Chmielowski się nie żalił, nawet wtenczas nie, kiedy jeden z jego lokatorów zabrał mu otrzymaną od rodziny gotówkę i uniemożliwił pościg, psując jego protezę. Nie myślał Chmielowski ani na chwilę o pościgu, bo już serdecznie pokochał Panią Biedę św. Franciszka. Pani bieda poprowadziła go do Konferencji akademickiej św. Wincentego pod wezwaniem św. Jana Kantego; poprowadziła go do Zakładu ks. Siemiaszki;

otwarła mu wreszcie drzwi strasznej nory i nędzy, w miejskiej ogrzewalni i zapytała głosem nowej miłości: duszę swoją dasz?— Dam, odpowiedział całą siłą swego sumienia, chociaż jeszcze jasno nie wiedział, na jaką wstąpi drogę.

Przesunęła się już daleko dominanta w jego życiu, lecz jeszcze ciągle był artystą wrażliwym na piękno. Rwała go do siebie Srebrna Góra na Bielanach, bo z niej, z eremu kamedułów, widać Wysokie Tatry i najpiękniejszą dolinę Wisły pod Krakowem. Polubiono go u kamedułów i zaproszono na dłuższy pobyt. Gdyby był poszedł za porywem swych upodobań artystycznych, byłby został na Bielanach, byłby tam malował dalej wnętrze kościoła i niezrównane widoki. Nie poszedł jednak za marzeniami, namalowane obrazy sprzedawał na chleb dla nędzarzy z ogrzewalni, a tylko zachował w pamięci krój kamedulskiego habitu.

Głos nowej miłości i Pani Biedy przeprowadził go z ulicy Basztowej na Skałkę, do oo. Paulinów, by bliżej było ogrzewalni. Nie przestał być artystą. Zauważył na strychu klasztornym krzyż, którego używano do procesyj kościelnych. Już poprzednio pomalował kamedułom śliczny krucyfiks w pierwszej kaplicy na lewo w kościele na Srebrnej Górze. Nie powiodło mu się z tą kaplicą, bo kamedulski braciszek zauważy, że drzewo ramienia Chrystusa nadpróchniało, wymieni ramię i cały krzyż zapokostuje, by mocno błyszczał ludziom w oczy. Tu, u oo. paulinów, powiodło się lepiej, bo krzyż poniosą w przyszłości jego bracia pieszo w procesji do kaplicy na Kalatówkach, a jego przyjaciel monachijski, St. Witkiewicz, pokryje go dyskretnymi farbami.

Artystą był Chmielowski aż do końca życia, to prawda, ale Maks Gierymski nazwał jego nieszczęściem to, że chciał dawać więcej, niż natura dać może, że pragnął podnieść siebie samego do wyżyny piękna i poezji. Nowa miłość poszła mu teraz ze serca w oczy, bo jakby intuicyjnie dojrzał obraz boży w duszy człowieka, którego w miejskiej ogrzewalni żywcem zjadała nędza. Miłość i Pani Bieda zapytuje go po raz ostatni: duszę swoją dasz? Wpatrzony w obraz boży pod łachmanami nędzarza w ogrzewalni, odpowiedział Chmielowskiemu heroicznie i na całe życie: duszę dam. Zamknął się w schronisku przy ul. Krakowskiej z krakowską nędzą, uznał ją za swoją wybraną cząstkę i rodzinę, stał się dla niej Bratem Albertem, założył dla niej

zgromadzenia Albertynów (1888) i Albertynek (1890) i został na całą Polskę symbolem tej nowej miłości, co idzie z serca człowieka do jego oczu tak, że w nędzarzu dostrzega piękno bożego obrazu. Brat Albert pozostanie nadal, na całe życie artystą, by służyć pięknu w sponiewieranym człowieczeństwie. Żaden humanista chrześcijański nie spojrzał głębiej w tajniki społeczeństwa. Sama łaska boża uszanowała niepospolitą indywidualność Brata Alberta i wprowadziła go na nowe drogi służenia nędzy przez uszanowanie tego, co w niej było pięknym. Brat Albert pozostał artystą.

III

Nie rozczuloną słabością duszy bez szerszego widnokręgu jest nowa miłość, lecz siłą twórczą, która potrafi czasem odezwać się mocno, by wstrząsnąć sumieniami. Zadowolona ze siebie burżuazja na początku XX wieku miała oczy, by nie widzieć i uszy, by nie słyszeć. Nie widziała ani słyszała tego, co zapowiadały ruchy rewolucyjne w Rosji z roku 1905. Za takich ludzi widział i słyszał Brat Albert, skoro się odezwał z niepokojem o przyszłość: »Zrobiłem spostrzeżenie, że zbiorowy rozum nie jest nawet tak wielki, jak rozum pojedyńczy zwykłego chłopa na wsi. Chłop nigdy nie odmówi proszącemu noclegu i chleba, bo wie, że może on go z zemsty podpalić, a społeczeństwo zdaje się nie myśleć o tym, że mnoży podpalaczy, którzy szkodliwi już są pojedyńczo, w wielkiej zaś masie mogą stać się niebezpiecznymi«. Bał się, że stanie w płomieniach rewolucyjnych wielki, olbrzymi dom, który się nazywa społeczeństwem. Śledził pilnie wypadki w Rosji i marzył o wolnej Polsce, lękając się jednak o wielki, społeczny dom: — lękał się tego bezrobocia, co z człowieka robi złodzieja lub żebraka. Kto jak on zamknął się w jednej ogrzewalni z nędzarzami, miał prawo powiedzieć: «Człowiek, który z jakiegokolwiek powodu jest bez odzieży, bez dachu i kawałka chleba, może już tylko kraść, albo żebrać dla utrzymania życia«.

Kto koło roku 1905 i później konspirował i marzył w Zakopanem o zbrojnym, polskim czynie, interesował się samotnikiem w ziemistym habicie na Kalatówkach, bo wiedziano, że się bił w powstaniu styczniowym. Chodzono czasem pod drewniany

klasztorek, by skrzepić siły widokiem tego dziwnego człowieka. Tak znalazł się zapewne w klasztorku Stefan Żeromski, zanim napisał Nawracanie Judasza (1913). — Szli na rozmowy religijne z Bratem Albertem ci, co stracili wiarę w Boga, czując w sobie rewolucyjnego ducha. Nie wymienię nazwiska zmarłego już, wybitnego uczonego, który pielgrzymował na Kalatówki, by tam odzyskać utraconą wiarę. — Pielgrzymowali na Kalatówki inni, tacy, co tam chcieli odprawić rekolekcje, a jeszcze bardziej zbudować się widokiem bezwzględnego ubóstwa. Jeżeli kto podziwiał z dali dziejowej postać św. Franciszka z Asyżu, to przekonywał się na Kalatówkach, że nie trzeba jechać do Umbrii, by oglądać pamiątki po Poverellu, bo tę samą Panią Biedę pokochał Brat Albert tak, iż chyba bardziej jej ukochać nie można.

Dochodziły też na Kalatówki odgłosy przewrotowych prądów z carskiej Rosji i echa tego, co się działo w Poroninie, gdzie gromadził się główny sztab bolszewickiej konspiracji. Gdziekolwiek mówiono o zagadnieniu nędzy społecznej, tam Brat Albert miał zawsze coś do powiedzenia. Zapewnia się, że zaglądał do mieszkania Bucharinów, gdzie się miał spotkać z Leninem. Obydwaj, on i Lenin, myśleli o przebudowie świata, ale każdy z nich pojmował ją inaczej, bo jeden chciał budować z Bogiem a drugi przeciwko Bogu. Każdy z nich miał już program gotowy, bo i Brat Albert, zakładając swe zgromadzenia, najwyraźniej porównywał swoją akcję z akcją komunistyczną. Jeżeli by się o tym wątpiło, można wziąć jedno pod uwagę, to, że w tym samym roku (1888) organizuje Brat Albert zgromadzenie tercjarzy i wydaje tercjarski przewodnik, gdzie niemal na czele zjawia się zdanie, że tylko na jeden komunizm możnaby się zgodzić, na ten, co wyrasta z ewangelii i opiera się o Kościół. Przeciwko ewangelii i przeciwko nowej miłości zamierzał Lenin podpalić świat, by się strawił w ogniu nienawiści. Brat Albert widział w człowieku przede wszystkim duszę i jej boży obraz, chociaż się lękał, by nie począł się palić wielki społeczny dom, jeżeliby ludzie nie spojrzeli prawdzie w oczy. Lenin widział tylko materię i pragnął, żeby domu nikt nie naprawiał, bo dom musi stanąć w płomieniach. Stanęli przeciwko sobie dwaj ludzie, którzy przedstawiali dwie idee i dwa światy i dlatego drogi ich musiały się rozejść. Kto z dwóch ludzi wygrał? Lenin czy Brat Albert? Kto widzi na

bliską tylko metę, powie Lenin; kto patrzy na metę daleką, powie: Brat Albert. Opowie się za Albertem, kto wierzy w ducha; opowie się za Leninem, kto wierzy w materię, w G. P. U. i Łubiankę. Kto wygrał przeciwko duchowi wczoraj, może przegrać jutro. Miasto się bawić w jałową dialektykę, należałoby zapytać, czy dzisiaj po dwudziestu latach istnienia bolszewizmu Brat Albert miałby coś do zrobienia w samej Moskwie od warabiowych jej wzgórz aż do samego Kremlu; czy zrobiłoby się nieco jaśniej, nieco cieplej, gdy by tam zjawiła się w ziemistej opończy postać takiego Brata Alberta, co by duszę chciał dać. Duszy nie da, kto uznaje, że jej sam nie posiada. Brat Albert i Lenin przedstawiają dwie przeciwne sobie idee i dwa światy, bo jeden duszę chce dać, a drugi chce ją człowiekowi odebrać.

Zresztą metoda postępowania z nędzą była u Brata Alberta taka, że wprowadzała w zdumienie nawet tych, którzy w swej pracy szli za Chrystusem. Opowiadał mi jeden z księży, że przyszedł do niego kiedyś Brat Albert po radę. Zaczął go bowiem szantażować jakiś niecnota, grożąc, że wyjawi rzekome sprawki jednego z braci. Wymanewrował raz i drugi małą kwotę pieniężną, aż wreszcie postanowił sobie na tej drodze znaleść źródło stałych dochodów. Co robić? Co robić? — powtarzał Brat Albert wobec zaufanego księdza. — Ksiądz przyrzekł zająć się sprawą i postąpił tak, jak mu radził jego praktyczny, zdrowy rozsądek. Źle na tym wyszedł szantażysta, bo się znalazł w więzieniu śledczym. — Przyszedł znowu Brat Albert do swego doradcy z miną zafrasowaną. Znowu Bratu ktoś dokucza, pyta ksiądz. Nie, brzmiała odpowiedź, chodzi o tego krawca. Coś ksiądz zrobił! Coś ksiądz zrobił. Doradca przecierał oczy ze zdziwienia, aż wreszcie zrozumiał, o co chodziło, kiedy Brat Albert począł z żalem powtarzać: Zgubiłeś ksiądz duszę, zgubiłeś duszę!

Zdawałoby się, że kto tak się odzywa i takie głosi poglądy, musi w życiu przegrywać na każdym kroku, bo widzi wszystko na wspak. Niezawodnie tu jak gdzieindziej Brat Albert odwracał sytuację do góry nogami, zadziwiając swe otoczenie. Niejednokrotnie przegrywał z ludźmi przewrotnymi, jeżeli się myśli o grze na bliską metę, ale wygrywał, bez wątpienia wygrywał, jeżeli chodzi o metę daleką.

Różne prądy myśli i uczuć niosą ze sobą męty, które osia-

dają jako namuł na sumieniach, stępiając je na zasadnicze nawet idee ewangeliczne. Trzeba dopiero paradoksalnie ostro postawić pewne zagadnienia, żeby przypomnieć ludziom najwyższą zasadę wszelkiej akcji, tę, że duszę bierze się duszą, bo inaczej przegrywa się na daleką metę.

Zgóry i zdołu powtarza się ludziom tyle razy, że tylko są synami ziemi, tylko braćmi zwierząt, że wreszcie człowiek dla człowieka staje się tylko ziemią i tylko wilkiem. Gdziekolwiek zapanował materializm jako oficjalny światopogląd, gdzie jak w Sowietach odebrano człowiekowi jego duszę, tam zjawia się bolesna antynomia między założeniami materializmu i determinizmu a pożądanymi ideałami i tęsknotami duszy, która pozostaje tym, czym jest, chociaż ją się teoretycznie neguje. Głębokimi, wrażliwymi jednostkami targa wtedy rozpacz; natomiast, jednostki płytkie zamykają oczy na głębie zagadnień, by wnijść na drogę zakłamywania siebie, społeczeństwa i własnego systemu, byle by się uchronić od logicznych następstw swych założeń.

Brat Albert zbliżał się do ludzi nieszczęśliwych i zbrodniczych, do chorych i przewrotnych, do zakłamanych i szczerych; zaglądał do salonów, bywał u bogatych — a do jednych i drugich przemawiał swym ziemistym habitem, całym swym jestestwem.

Ujarzmił niegdyś groźne ruchy komunistyczne św. Franciszek z Asyżu przez to, że poszedł do ludzi z nową miłością w duszy i ze śladami ubóstwa na własnej skórze. — Brat Albert był teraz artystą, któremu nowa miłość wysubtelniła aż do intuicji duchowy jego wzrok. Ponieważ pracował dla biedy, chciał, żeby bieda była w nim i na nim i stąd płynął jego rygoryzm w zachowaniu ubóstwa.

Z regla nad Kalatówkami wskazał mu kiedyś Władysław Zamoyski swoje lasy, powtarzając: »Bierz, ile chcesz«, a Brat Albert z dobrotliwym uśmiechem odpowiadał kusicielowi słowami św. Franciszka: »Ani domu ani żadnej rzeczy«. Tłumaczono, przekonywano z różnych stron, że trzeba wniść na inną drogę, lecz zawsze padała ta sama odpowiedź: »Ani domu ani żadnej rzeczy«. Pytał go braciszek, czy wolno nosić złote kapy na zębach. Odpowiedział mu ze zdziwieniem i wyrzutem: »Jak można pytać o takie rzeczy! Nosić chodaki i ziemisty worek a w gębie mieć złoto — to byłby dowód nieprzyzwoitości".

Do wydziedziczonych szedł Brat Albert z biedą w sobie i na sobie, dawał im swoją duszę a oni ją w swoją własną brali, bo widzieli po jego biedzie, że daje szczerze, że nie zakłamuje. Nie zapomnieli mu dotąd, że ich nie pytał o przeszłość, nie szperał w ich grzechach, lecz kazał im dać chleba. Nie zapomnieli mu, że kamedulski, biały habit zamienił na ziemisty, by się mógł ocierać o ich nędzę. Nie zapomnieli mu tego, że jadał nieraz z nimi z tego samego kotła, że kazał kotły odnosić do kuchni, ilekroć źle zgotowano. Nie zapomnieli mu, że wieczorami kazał bratu Andrzejowi grać na skrzypcach, by z ich dusz spłynęły smutek i rozgoryczenie. Nie zapomnieli mu, że chciał być dla każdego z nich dobrym jak chleb, który dla każdego leży na stole, by brał ile mu się podoba. Nie zapomnieli mu tego, że ubóstwo było w nim i na nim, kiedy im dawał swą duszę w imię nowej miłości.

Nie zapomnieli mu tego wszystkiego wydziedziczeni, ale pamiętają mu to także ludzie z salonów i katedr uniwersyteckich, ludzie zamożni i ludzie z buntem w duszy. Całą swoją osobą, swą dobrowolną biedą wskazywał, że pomosty ponad przepaścią między zwaśnionymi ludźmi może rzucić nowa miłość, co idzie aż do oczu i potrafi w każdym dojrzeć i uszanować jego człowieczeństwo i zawarty w nim obraz boży.

Rzadko kto dostrzegał, skąd ostatecznie u Brata Alberta płynął ten wstrząsający heroizm, rzadko kto wiedział, że w głębi jego duszy spełniały się tajemnice mistycznego zjednoczenia z Bogiem aż do omdlenia sił fizycznych. Z góry brał swoje siły i do góry pragnął wszystkich podciągać, bo czuł w sobie sakramentalne charaktery i związaną z nimi nową miłość, co każe duszę swoją dać. Powiedział o nim Maks Gierymski: »Nieszczęściem (tego człowieka) było, że chciał łączyć w jedno teorię z praktyką, życie naginać do potrzeb poetycznych, że żądał od siebie więcej, niż natura dała człowiekowi, niż mu dać mogła. Co Gierymski nazywał »nieszczęściem« Brata Alberta, to w samej rzeczy było jego wielkością i heroizmem.

Ludzie cierpią strasznie od braku dobroci bliźnich.
Bądźmy dobrzy!

PRZEMÓWIENIE PORUCZNIKA-WETERANA P. LUDWIKA NOWAKOWSKIEGO.

Eminencjo-Najdostojniejszy Nasz Arcypasterzu. Dostojni Panowie i Drodzy Rodacy!

Staje przed wami jeden z ostatnich, weteran z 63 roku, by sięgnąć pamięcią do chwili, kiedy na bruku krakowskim przed pięćdziesięciu z górą laty jawił się »Biedaczyna«, wierny naśla- św. Franciszka z Asyżu: Brat Albert — śp. Adam Chmielowski. Zaproszony dzisiaj przez przewodniczącego Komitetu profesora Rawicz-Rojeka chcę w paru słowach uprzytomnić tę wielką postać człowieka, który żył w ciągłym poświęceniu dla miłej Ojczyzny i ludzkości, którą ukochał według słów Chrystusa, Króla i Pana: »coście uczynili jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili«.

W poświęceniu wytrwał aż do zgonu zasługując na nagrodę w niebie, a tu na ziemi pozostawiając miłość i wdzięczność cierpiącej ludzkości.

Ja jako druh i kolega z powstania styczniowego śp. Adama nie mogę już nic dodać do tego, co o jego bohaterstwie



W Złotej sali D. K. podczas uroczystej akademii

Obok J. E. Księcia Metropolity Sapiehy siedzi powstaniec 1863 r. L. Nowakowski.

powszechnie wiadomo. Ale muszę stwierdzić, że Jego udział w powstaniu jak i ofiarna w krew walka nie ulegają żadnej wątpliwości.

Niezależnie od powstania przeżyliśmy obaj tu w Krakowie wiele wspólnych chwil, żyliśmy wspomnieniami. Przywodziliśmy na pamięć, kiedy to ja przyjechałem do Krakowa po jego spaleniu i moje wspólne wówczas mieszkanie z Arturem Grottgerem, pogrzeb generała Chłopickiego z Krakowa do Krzeszowic, pogrzeb Kazimierza Wielkiego, czasy prezydenta Dietla, moje wyjście do powstania oraz wspomnienia wielu osób, jak śp. Kardynała Dunajewskiego, hrabiego Potockiego, którzy wielką czcią śp. Adama Chmielowskiego, Brata Alberta otaczali.

Wiek i wzruszenie nie pozwalają mi mówić, ale na końcu chcę zwrócić się do was, zacne i czcigodne Polki! Powtórzę wam słowa, które ongiś wypowiedział do mnie Brat Albert: »Wiesz kto są główni obrońcy i bohaterowie w Ojczyźnie, kto się przyczyni do wskrzeszenia Polski? Polki! Gdyby nie ich wysiłki i praca nad młodym pokoleniem, nie wpojona przez nie wiara święta i miłość Ojczyzny, nie byłoby Polski«.

Słowa te powtarzają się po pięćdziesięciu laty przez usta generała Bortnowskiego na zaolzańskim Śląsku. Słowa te i ja wam, jako jedną ze spuścizn po Bracie Albercie przekazuję.

Ś. p. Ks. Władysław Staich.

Chłodno było w dniu Jego pogrzebu.

Od rana deszcz padał — było szaro i mglisto. Ostatnie dni października zwarzyły na drzewach liście tak, że cmentarz był przysypany złotym, jesiennym nalotem, szeleszczącym smętnie pod stopami.

Po wspaniale uroczystym nabożeństwie w kościele Mariackim, który był najdroższą ojczyzną księdza Staicha, niezliczony tłum wdzięcznych mu za gorące i porywające kazania, które podczas majowych nabożeństw codziennie przez 10 lat wygłaszał, mimo dnia powszedniego, dnia pracy, szedł ławicą, nie spotykaną w Krakowie. Bo szli wszyscy: i najwyższa inteligencja, profesorzy, artyści — i ludzie prości — masa ludu.

A szli wszyscy samorzutnie, z własnej woli.

Szli w głębokim milczeniu — to było charakterystyczne, w przeciwieństwie do innych pogrzebów, gdzie idący za trumną rozmawiają najobojętniej o codziennych sprawach. I to milczenie było najbardziej wymowne.

Ksiądz Staich był ogromnego wzrostu — a trumna jego zdawała się nieduża, kiedy płynęła nad olbrzymim tłumem otaczającym ją. Tak samo w kościele ginęła wśród świateł i ludzi, bo pamięć jego serca gorącego, gwałtownego do wszelkiego dobra, zasłoniła jego zezwłok.

I była w Mariackim kościele msza św. żałobna za duszę kapłana, który nie był specjalnie żadnym dygnitarzem kościelnym, tylko cmentarnym kapelanem. A w świątyni tłok był nieopisany, chyba jak podczas rezurekcji. Ludzie patrzyli na katafalk i na siebie i oczami porozumiewali się, że stało się nieszczęście, niespodziewane, straszne, beznadziejne.

Umarł ksiądz Władysław Staich!!

I już nigdy nie wejdzie na ambonę, nigdy nie roztoczy przed oczyma słuchaczy wizji swoich nad historią narodu i świętych polskich. Nigdy przed Stwoszowej szafy cudem, zamykającym Zaśniętą Pannę Marię, nie rozrzuci gwiazd swoich zachwytów nad Królową nieba. Nigdy nie otworzy serca i krwią żywą nie będzie budził opowieści cudnych, uczonych historycznie a żywych jego miłością.

I cały tłum zebrany w kościele płakał za miłością, z jaką ksiądz Staich nauczał i kazał.

Bo ks Staich znał jedną tajemnieę, która otwiera serca i zdobywa je dla Boga i Ojczyzny. Tajemnicę trudną do odgadnięcia, wspaniałą, której kupić ani wytargować nie można. Ani za berło, ani za koronę jej nie wymienić ni zdobyć, tylko trzeba umieć kochać.

Ksiąd Staich umiał gorąco kochać Boga, Polskę i ludzi, a była w nim prostota i szczerość, nie znosząca żadnych kompromisów. Był taki bezpośredni i prawy, że szlachetny człowiek musiał go z czcią podziwiać. W księdzu Staichu była dominująca jakaś tęsknota za czemś, czego ziemia nie ma. Szukał wszędzie Boga i znajdował Go w pięknie i cnocie.

Utalentowany bardzo, pisał wiele, a zawsze na tematy drogie polskim sercom.

Była w nim jakaś poezja pierwotna, granitowa, jak ta bryła głazu, którą z Kalatówek zakupił w kamieniołomie na tablicę pamiątkową dla Brata Alberta.

Hojny bez miary, gardzący ziemskim bogactwem, miał prawdziwie pańską niezachłanność na pieniądze i nie miał żadnej żądzy posiadania. Wolny był — cudowną wolnością franciszkańskiej beztroski Sumienie czyste, modlitwa, praca, książki i dobre uczynki — to było życie księdza Staicha. I zamiłowanie do przeszłości, historia Polski i Krakowa — i żywoty świętych naszych.

— — — — — — — — — — — —

O, długo poczekać trzeba będzie, nim powstanie kapłan taki boży i ludzki.

A jak przyjdzie znowu, zesłany przez Boga, aby kochał i Ewangelię w czyn wcielał. czy mu świat znowu cierniem uściele drogę, by zrozumiał, że w samotni łatwiej głos Pański się słyszy?

— — — — — — — — — — — —

O Bracia, wspólnego Ojca dzieci, którzy kamienujecie sprawiedliwych i umęczacie tych, którzy was kochają, bądźcie błogosławieni! Bo w waszych rękach klucz od bram wiecznego żywota. Każdy cios z waszych dłoni i każda zatruta strzała w serce, wszystko, czem godzicie w wyznawców prawdy i przeciwników zakłamania, to są dary z którymi śmiało mogą iść na gody pokrzywdzeni. Bo tam, gdzie kiedyś wszyscy się spotkamy, w ogniu ostatniej próby zabłyśnie szczere złoto a szych stleje w popiół.

Świat będzie zawsze deptał to, czego nie rozumie, a co przewyższa go duchem, a schlebia tylko pysze i bladze. Lecz świat nie jest sędzią dla wybranych. A Bóg patrzy w serce i czeka, a jeśli widzi człowieka, co potrafi ideały Jego ukochać, cieszy się.

A radość Boga — to już zbawienia zadatek.

Michalina Janoszanka

KRONIKA NOWICJACKA

Długo milczał bulowicki kronikarz. Chwyta wreszcie do ręki pióro, by odtąd w każdym numerze »Głosu« dorzucić jasną smugę na pogodne kartki naszego pisma.

W domu naszym, już z samego przeznaczenia służącym do wyrabiania powołań albertyńskich, istnieje ustawiczna dążność do wcielania w życie ducha naszego założyciela.

W kronice znajdujemy miejsce do wynurzenia uczuć dla świettlanej postaci Ojca naszego — Brata Alberta.

Tutaj pisać będziemy o dążeniach, o twardym codziennym trudzie obowiązków szarej gromady i całym naszym życiu, które jak srebrny potok pobliskich gór płynie wartko naprzód i już nie powraca.

Oby Bóg błogosławił naszym zamiarom!

(25 października). Ciche nowicjackie ustronie odwiedził miły gość, wielki przyjaciel naszej idei, ks. dr. Kazimierz Prażmowski, autor ilustrowanego „Żywota Brata Alberta“ i kalendarzy albertyńskich. Przybył on, by tutaj, w tej kuźni entuzjastów — bojowników w wewnętrznym skupieniu spędzić kilka dni.

27, w niedzielę, po mszy św. konwenckiej przemówił do nas· Zobrazował nam bezmiar trudów i poświęceń jakie nas czekają, gdy za kilka miesięcy rozproszymy się po całej Polsce, by przytulić do serca tych, którzy nigdy ciepła domu rodzinnego nie zaznali.

Mówił z serca, a serce zawsze trafia do serca.

Oby nam danem było jaknajwcześniej usłyszeć słowa rozkazu. Rzucimy na szalę wszystko, nasz zapał, nasze siły młodzieńcze i samego siebie.

(2 grudnia) „Christus vincit! Christus regnat! Christus imperat"! oto hasło pierwszego piątku miesiąca, który stał się spontanicznym odruchem serc naszych ku Boskiemu Sercu. W tym dniu bowiem z inicjatywy naszego Ojca Duchownego zaciągnęliśmy się w szeregi Straży Honorowej Najśw. Serca Jezusowego.

Z ufnością patrzymy w rozpromienione Boskie Oblicze. Sercu Jego powierzamy wszystkie młodzieńcze uczucia w głębinach duszy ukryte.

Piersi nasze pełne żaru, wezbrane dumą, boć stanęliśmy dzisiaj w pierwszym szeregu, przy Sercu Boskiego Wodza.

Więc prowadź nas Chryste. Z Tobą pójdziemy zwyciężać!

(7 grudnia). Wigilia Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marii Panny.

Słońce chyli się już ku zachodowi i czerwoną smugą wdziera się w okna kaplicy, ślizga się po bieli chryzantem zdobiących ołtarz na dzisiejszą uroczystość, by spocząć wreszcze na głowach — sześciu kornie klęczących postaci. To nowi Albertowi rekruci gotowi do wzięcia na siebie jarzma trudów naszego szarego życia. Z serc wszystkich wyrywa się potężna pieśń — westchnienie: „Veni Creator Spiritus".. Przyjdź Duchu św, nawiedź serca wiernych Twoich!...

Od ołtarza, z ust ks. dra Tobiasiewicza padają ojcowskie słowa zachęty do ochotnej służby przez całkowite oddanie się sprawie.

Teraz kolejno przystępują, by z rąk Ojca Duchownego przyjąć habit; ten habit, który pół wieku wstecz, wielkiego artystę i światowca Adama Chmielowskiego, zamienił w szarego i pokornego Brata Alberta, Ojca nędzarzy.

To też ze czcią, na klęczkach przyjmują tę świętą szatę, która dzisiaj już stała się symbolem miłosierdzia. Całują i wieszają na piersiach krzyżyk, który będzie im towarzyszem i osłodą w znojach życia.

Za chwilę padają wszyscy krzyżem i słowami psalmu 50-go wyznają swą nicość przed Panem.

... Dawno już zgasła cicha zorza. Ciemne niebo prószy tylko srebrem wieczornych gwiazd. Senna cisza zalega klasztor.. i marzą się im ideały przyszłego życia: długie korowody nędzą znękanych postaci czekających na ich pomoc.

Po obłóczynach-święte ślubowanie. Po dwuletniej, szczęśliwie przebytej próbie, dwóch szczęśliwców klęczy u stóp ołtarza, by za chwilę ściślejszym niż dotychczas węzłem połączyć się ze swym Mistrzem ukochanym.

Bezkrwawe Misterium Golgoty dobiega już kulminacyjnego punktu. Nadchodzi chwila Komunii św., chwila bezpośredniego zjednoczenia się z Bogiem Eucharystycznym.

» O sacrum convivium, in quo Christus sumitur"„ z pełności uczuć szepcą usta, gdy w otwartych drzwiczkach tabernakulum ukazuje się Pan.

Chwila oczekiwania.

Dwie szare postaci klękają na stopniu ołtarza. Wśród uroczystej ciszy padają słowa twarde, żołnierskie prawie:

„Wszechmogący, przedwieczny Boże, w obliczu Najśw. Marii Niepokalanej, św. Ojca naszego Franciszka i całego dworu niebieskiego, ja brat Albin przyrzekam i ślubuję Twojemu Boskiemu Majestatowi i Wielebnemu Bratu Starszemu Albertynów III Zakonu św. Franciszka posługujących ubogim ubóstwo, czystość i posłuszeństwo„.

Z kolei rotę ślubowania odczytuje drugi neoprofes br. Honorat. Od tej chwili, z nowicjuszów stali się w pełni uprzywilejowanymi synami matki-zakonu.

Już jutro opuszczą nas i wsłuchani w głos niedoli, z żarem miłości bliźniego w sercach pójdą w twardym pochodzie swych obowiązków, na apostolski trud.

O siłę ducha będziem modlić się dla Was, abyście choć w krwawej udręce ofiarą swą stali się pionierami świętej idei dobra powszechnego.

Żegnajcie! Do zobaczenia się na wspólnym froncie!

Ofiary na ubogich w przytuliskach Brata Alberta

Państwo Marianostwo Chudzyńscy Sosnowiec, Towarowa 9 m. 3 na najbiedniejszych wg. uznania Br. Starszego złożyli zł. 7oo — Przew. Ks. Prob. Edmunt Dutschka Izebnie k. Jasła zł. 2oo — WP. Irena Smolińska Poznań ul. Paplińskich 5 m, 5 zł, 1oo — Po 5o zł. złożyli : WP, Wicepremier inż. Eug. Kwiatkowski W-wa, Kasa Samopomocowa K. P. W. W-wa, Wp. Z. Daszyńska Katowice z podziękowaniem za otrzymaną łaskę zł. 4o — Po 25 zł. złożyli : W. P. L. Wyczółkowska Gościeradz JWP. Dr Ludwik i Maria Schneiderowie w/m. Kuria Generalna SS. Felicjanek Kraków — Po 15 zł Przew Ks. mgr. Henryk Weryński w/m. Przew. SS. Miłosierdzia w/m. ul. Warszawska — Po 1o zł. złożyli: JWP. Minister Józef Beck W-wa, »Dom Pracy« Przew. SS. Miłosierdzia Kraków, ul. Piekarska, Przew. Ks. Ign. Jeż Wielkie Hajduki — Przew. Ks. Bazura Jan W-wa, Przew. Ks J. Drybała Kruhel Wlk.

c. d. n.

Za pozwoleniem władzy duchownej.

Redaktor : WŁADYSŁAW FIGIEL

Wydawca : Brat WINCENTY albertyn

Administrator : Brat IGNACY

Przedpłata roczna 1.80 zł. — Cena zeszytu 30 gr.



DRUKARNIA „FORTUNA" R. KOSTUCHOWEJ KRAKÓW LUBICZ 13 — TELEFON 134-62